



SYRENA

ROK XXIII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 22/1090 (820) CZWARTEK 30 maja 1963

PAWEŁ HEĆIAK

Módlmy się z Prymasem Polski za Ojca Świętego Jana XXIII

Korespondencja z Rzymu

UBIEGŁY tydzień był dla Rzymianina jak i dla przygodnego turysty czy pielgrzyma — a przybywa ich dzień w dzień tysiące do Wiecznego Miasta — tygodniem głębokich przeżyć. Źródłem ich było nagłe pogorszenie się stanu zdrowia Ojca Świętego i to tak dalece, iż musiano w ostatniej chwili odwołać stałą, co tygodniową audiencję zbiorową udzielaną w każdą środę w bazylice św. Piotra. Zaskoczenie było powszechne, jakkolwiek już od dłuższego czasu nie ulegało wątpliwości, iż zdrowie Ojca Świętego nie jest najlepsze. Widoczne to było wyraźnie w dniu 10 maja, gdy Papież odbierał nagrodę pokojową Balzana, widoczne to także było dnia następnego, gdy Papież składał wizytę oficjalną prezydentowi Włoch, Segniemu. Nikt jednak nie przypuszczał, że — zbyt wielki wysiłek tych dni, połączony z niezmiernie wyczerpaną pracą z której sływie Papież — spowodują tak nagłe pogorszenie, iż stanie się ono przedmiotem najwyższej troski wszystkich katolików świata i dostojników państwa watykańskiego.

Toteż ani próby utworzenia nowego rządu włoskiego i liczne rozmowy prezydenta Segni z przywódcami politycznymi nad zmontowaniem nowego rządu, ani nawet jeszcze jedna skandaliczna afery finansowa*) — nie interesowały w takim stopniu czytelników pism włoskich, turystów i pielgrzymów, jak właśnie niepokojące wieści dochodzące z Watykanu.

Dla Polaków natomiast tydzień ubiegły miał charakter wybitnie polski, gdyż mogliśmy uczestniczyć albo w dorocznych uroczystościach na Monte Cassino, albo brać udział w I Walnym Zjeździe Delegatów Komitetów Millennium z całego niemal świata, czy usłyszeć wspaniałe kazanie Prymasa Polski ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego wygłoszone w kościele polskim św. Stanisława na via delle Botteghe Oscure w dniu otwarcia tego Zjazdu (17 maja), albo też brać udział we wzruszającej manifestacji w środę, dnia 22 maja na dworcu rzymskim, gdy Prymas Polski i arcybiskup Baraniak z Poznania, zęgnani przez zastępcę sekretarza stanu Monsignora Dell' Aqua i kard. dr König z Wiednia, ks. arcyb. J. Gawlinę — Opiekuna wychodźstwa i ks. arcyb. Kominka — wyjeżdżali do Polski, by wrócić ponownie do Rzymu na dzień 8 września, gdy rozpocznie się druga część obrad soborowych. Mimo tych „polskich aspektów” w Rzymie wszelkie rozmowy wśród Polaków zaczynały się od pytania o zdrowie Papieża. Tej trosce o zdrowie Papieża dał także wyraz Prymas Polski, gdy z okna wagonu kolejowego na kilka minut przed odjazdem powiedział: „Będę się modlił na Jasnej Górze za całą Polskę zagraniczną, która okazała mi tyle serca. Będę się modlił za wszystkich, będę się modlił za zdrowie Ojca Świętego”.

*) t. zw. afery bananowa zakończona aresztowaniem w dniu 21 maja prezydenta monopolu bananowego Bartoli Avveduti, adwokata, zięcia zmarłego senatora Alberti i sekretarza prywatnego ministra finansów Trabucchi. W dniu 25 marca przydzielone zostały ponownie — po 10-letniej przerwie — koncesje bananowe na prowadzane z Somali banany, przy czym dziwnym zbiegiem okoliczności koncesje otrzymali ci sami co dawniej, zaś wszyscy nowi kandydaci zostali pominięci. Podobno na tej jednej tylko kombinacji Avveduti zarobił „zaledwie” 120 milionów lirów.

Po tych słowach udzielił Swego kapłańskiego błogosławieństwa a zebrany tłum Polaków odpiewał pieśń: „Maryjo, Królowo Polski”. Ta scena, tak popularna i znana na dworcu rzymskim ilekroć przyjeżdża albo wraca do Polski nasz Prymas, wywołuje zawsze głębokie wzruszenie. W niejednych oczach ukazały się łzy...

W jasno oświetlonym oknie wagonu z napisami rosyjskimi Rzym-Moskwa za wysoką postacią Prymasa Polski, widać było drobną i szczupłą postać ks. arcybiskupa Baraniaka, przesyłającego dłońmi ostatnie pozdrowienia. Z okna sąsiedniego ukazał się sekretarz osobisty Prymasa, ks. prałat Padacz, niewątpliwie wzruszony serdecznością z jaką zęgnano przedstawicieli polskiego Episkopatu. A jednak...

A jednak myśli nasze skierowane były tego wieczoru w stronę małego okienka Pałacu Watykańskiego na trzecim piętrze, gdzie znajdują się prywatne apartamenty Papieża. Bo jeśli nawet Prymas Polski wspominał na pożegnaniu, iż modlić się będzie na Jasnej Górze za zdrowie Papieża, jeśli prasa rzymska przepelniona była szcze-

gólowymi informacjami o stanie zdrowia Papieża, jeśli nawet w kościele św. Anny w murach watykańskich odmawiano specjalną modlitwę „oremus pro Papa”, jeśli i arcybiskup Lyonu, kardynał Gerlier, wezwał swoich diecezjan do modlitwy za Papieża pisząc, iż „ten dowód naszego synowskiego przywiązania do Papieża sprawi mu radość i może przyczynić się do otrzymania łaski przetrwania tej próby, która jest jednocześnie naszą próbą” — to niewątpliwie w tym minionym tygodniu poważne musiały być powody dla których w tak serdeczny sposób dawano wyraz troski o zdrowie Papieża Jana XXIII.

Tak się złożyło, że byłem w tych krytycznych dniach w Rzymie, biorąc udział w zwołanym przez ks. arcyb. J. Gawlinę zjeździe działaczy milenijnych. (O zjeździe tym, w którym z Londynu brał także udział ks. inf. Wł. Staniszewski — napiszę obszerniej w następnym artykule). I dlatego chciałbym podzielić się z pewnymi wrażeniami z Rzymu i Wiecznego Miasta, a

(Dokończenie na str. 8)



Stan zdrowia Ojca Świętego uległ dalszemu pogorszeniu. Jak donoszą z Watykanu sekretarz osobisty Papieża Mgrs. Capovilla wyszedł płacząc z pokoju Papieża mówiąc: „Módlmy się! módlmy się!”. Oficjalnie ogłoszono, że bóle żołądkowe Papieża spowodowane zostały nowotworem, którym jest rak. Przy Papieżu czuwają bezustannie jego lekarze.

W TYM NUMERZE
DODATEK

*Jeppkim
piórem*

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

PO OTTAWIE — FRANCUSKA WIZYTA W WASZYNGTONIE

KONFERENCJA ministrów spraw zagranicznych Przymierza Atlantycznego w Ottawie przebiegła harmonijnie i zakończyła się zgodnie przyjętym komunikatem. Harmonia ta jest wyrazem istotnej woli partnerów zachodnich utrzymania i nawet wzmocnienia jedności na dalszą metę, ale nie oznacza, że aktualne różnice poglądów tam wyrównano. Sporne sprawy, związane z nuklearnym uzbrojeniem zostały jedynie odroczone.

Sporną sprawą jest, jak wiadomo, amerykańska koncepcja „wielostronnej” siły nuklearnej (umieszczonej na flocie nie podwodnej), w której załogi byłyby wielonarodowe i koszty rozłożone na partnerów Przymierza, ale ostateczne decyzje spoczywałyby dalej w ręku Waszyngtonu, czemu sprzeciwiła się Francja. O tym projekcie zdaje się, w Ottawie nawet nie mówiono, a w każdym razie nie wspomina tego komunikat z konferencji.

Osiągnięto natomiast porozumienie, w praktyce anglo-amerykańskie, co do oddania naczelnemu dowódcy Przymierza Atlantycznego bombowców brytyjskich typu „V” (zdolnych do bombardowań atomowych) oraz trzech amerykańskich łodzi podwodnych, uzbrojonych w pociski atomowe typu Polaris. Wreszcie, uzgodniono nieco szerszy udział oficerów innych państw sprzymierzonych w sztabie Przymierza Atlantycznego, rozstrzygającym zagadnienia nuklearne.

Osiągnięcie powyższe zostało zgodnie ocenione przez brytyjską prasę, jako bardzo skromne i przynoszące w praktyce mało nowego, ponieważ bombowce brytyjskie i łodzie polarisowe Stanów Zjedn. były faktycznie

także dotychczas do dyspozycji Org. Traktatu Póln. Atlantycznego (NATO). Charakterystyczna dla postawy brytyjskiej wobec tego postanowienia konferencji ottawskiej jest ocena „The Financial Times” (28.5. br.), pisma reprezentującego ważne koła Londynu: „jest to zaledwie pierwszy, mały krok do współdziałania; współdziałanie to jest tak małego znaczenia, ponieważ komasuje przestarzały sprzęt nuklearny do użycia pod systemem dowódczym, mało różnym od dotychczasowego”.

Niechętną postawę prasy brytyjskiej powiększa świadomość, że Londyn ulegać musi w tych sprawach presji Waszyngtonu, podczas gdy równocześnie Anglicy zaczynają coraz lepiej rozumieć uzyskaną — na skutek polityki de Gaulle’a — niezależność Francji. Okazuje się bowiem ponadto, że Amerykanie dążą do możliwie najrychlejszego przyjęcia przez W. Brytanię ich projektu „wielostronnego” uzbrojenia, któremu przeciwny jest brytyjski admirał Mountbatten i przeciw któremu ze strony prasy brytyjskiej wysuwane są argumenty coraz podobniejsze do francuskich.

Couve de Murville u Kennedy'ego

Opinię angielską drażnić też musi oczywiste wzmocnienie pozycji Francji w oczach Waszyngtonu. Nie tylko dyplomacja amerykańska zrezygnowała z wymuszenia na Francji swoich postulatów, ale przedstawicielowi jej poświęciła ona ostatnio najwięcej względów. Sekretarz Stanu Dean Rusk konferował z francuskim ministrem spraw zagranicznych Couve de Murville'm kilkakrotnie w Ottawie, a następnie dodat-

kowo w Waszyngtonie z okazji wizyty w Białym Domu.

De Gaulle nie zabiega też bynajmniej o spotkanie z Kennedy'm, podczas jego czerwcowej podróży po Europie, co wyraźnie wynikało z wypowiedzi Couve de Murville'a. Przeciwnie, Macmillan do perspektywy widzenia się z Prezydentem Stanów Zjedn. zdaje się przywiązywać zasadniczą wagę, jako do drogi wzmocnienia swego prestiżu, co w rzeczywistości mu go nie przysparza.

Przedstawiciel Francji, ani w Ottawie ani w Waszyngtonie, jak wynika z wiarygodnych relacji i autentycznych wypowiedzi, nie ustąpił w niczym ze znanego stanowiska de Gaulle'a. Polega ono na tym, że póki Stany Zjedn. nie dopuszczą Francji do tajemnic oraz decyzji nuklearnych, nie może być mowy o jej rezygnacji z produkcji własnej bomby

tego typu, ani o zgodzie na koncepcje pozornego współdziałania państw zachodnioeuropejskich w tych decyzjach.

Miejmy nadzieję, że uznanie dla stanowiska Francji, dość silnej i zdecydowanej aby się nie ugiąć znajduje wreszcie zrozumienie w Waszyngtonie, co będzie z wielkim pożytkiem dla jedności i siły Zachodu.

„Jedność Afrykańska” — luźniejsza, niż wygląda

Wbrew zaleceniu przygotowawczej konferencji ministrów spraw zagranicznych, aby przyjęcie Karty Afrykańskiej odroczyć, zjazd głów państw „czarnego lądu” uchwalił ją w postaci Organizacji Afrykańskiej Jedności, ku czemu parę przede wszystkim gospodarz zjazdu cesarz Etiopii Haile Selassie.

(Dokończenie na str. 8)

fraszki

UCZCIWY KRYTYK

Tego krytyka warto o zdanie zapytać;
On przynajmniej tytuły wszystkich książek czyta.

TEORIA EWOLUCJI W ŚWIETLE WYDARZEŃ DZIEJOWYCH

Droga ludzka przedziwnie jakoś się obraca:
Człowiek wyszedł od małpy — i do małpy wraca.

PODSTAWA MIĘDZYNARODOWYCH STOSUNKÓW

Z zaufaniem międzynarodowym
Jest tak, jak z grą w pokera:
Wszystko jest w znakomitym porządku,
Aż trafisz na szulera.

Rawicz

FP 2156

SPRAWY POLSKO-NIEMIECKIE W ACEN'IE

Rozmowa Janusza Kowalewskiego z Adamem Ciołkoszem

Na ostatniej sesji Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarmionych (po angielsku: Assembly of Captive European Nations, skrótem ACEN) w Strasburgu zarysowała się wyraźnie różnica poglądów na „sprawę niemiecką” między delegacją polską w osobach pp. Ciołkosza i Korbońskiego a innymi delegacjami, szczególnie przedstawicielem wólnych Węgrów b. premierem, Ferencem Nagy'em.

Sama sesja ACEN'u i treść konfliktu była dość szeroko omawiana m. in. przez prasę francuską. Fakt ten świadczy o wadze i powadze ACEN'u jako przedstawicielstwa narodów, oddzielonych wbrew ich woli żelazną kurtyną i faktem sowieckiej okupacji od Europy i od jej obecnych procesów integracyjnych. Ostatnio obserwujemy jak gdyby rodzaj rywalizacji o wpływy w ACEN'ie między Departamentem Stanu a rządami europejskimi, m. in. rządem niemieckim. Wyrazem tego zainteresowania niemieckiego była sugestia, by sesja ACEN'u odbyła się w Bonn. Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego, z prezesem Ciołkoszem na czele, odrzuciła tę propozycję.

Wobec zainteresowania tą sprawą i wobec wzrastającej wagi ACEN'u jako instrumentu walki o wolność narodów ujarmionych przez sowiecki imperializm, zwróciliśmy się do prezesa Ciołkosza z prośbą o nasświetlenie istoty zagadnienia. Poniżej podajemy treść rozmowy, jaką przeprowadził red. Janusz Kowalewski z prezesem Ciołkoszem w tej sprawie.

Redakcja

— Chcielibyśmy pana prezesa prosić o autorytatywne wyjaśnienie przyczyn sporu jaki powstał między delegacją polską a innymi delegacjami na ostatniej nadzwyczajnej sesji („kollokwium”) ACEN'u w Strasburgu. Delegacja polska w pewnym momencie opuściła salę obrad. Czy spór miał charakter incydentalny, czy też zasadniczy?

— Zasadniczy. Był to przejaw konfliktu między naszym, polskim, ogólnie znanym stanowiskiem wobec polityki niemieckiej, a stanowiskiem germanofilskim.

— Co było bezpośrednim powodem, że spór wybuchł właśnie na tej sesji?

— Czynniki germanofilskie proponowały by obecna sesja nadzwyczajna odbyła się w Bonn, co by niewątpliwie nadało ACEN'owi charakter organizacji niejako przetargowej przez rząd niemiecki, a co ważniejsze, mogłoby silnie wywrzeć wpływ na całość linii politycznej ACEN'u. Nie chcemy takiego wpływu, który by mógł zmniejszyć wagę naszego polskiego stanowiska wobec polityki niemieckiej. Dlatego odrzuciliśmy propozycję odbycia się sesji w Bonn.

— Jak mógłby pan prezes skonkretyzować zasady naszego stanowiska?

— Walczymy o ostateczne uznanie granicy na Odrze i Nysie; walczymy za przejawami rewizjonizmu niemieckiego; walczymy za objawami odradzania się militarystki niemieckiej. Nie trzeba wyjaśniać, dlaczego: mamy w świeżej pamięci tragiczne doświadczenia ostatniej wojny. Wiemy też, że byłibyśmy pierwszymi ofiarami wszelkiej militarnej ekspansji niemieckiej. Postawa nasza wobec każdego — nawet jak najbardziej demokratycznego — rządu niemieckiego musi być pełna czujnej ostrożności. Jak długo rząd niemiecki oficjalnie nie uzna obecnej zachodniej granicy Polski i jak długo popierać będzie rewizjonistyczne żądania uchodźców — nie możemy brać udziału w żadnym zjeździe ACEN'u na terenie państwa niemieckiego.

— Jak wiadomo, reżim warszawski zacieśnia ostatnio kontakty z Bonn... — Zawarcie umowy handlowej między Warszawą i Bonn i wymiana przedstawicielstw handlowych niczego w naszym stanowisku nie zmienia. Nie obowiązują nas polityka reżimu warszawskiego.

— Czy ostatnia klęska rewizjonistów, zgrupowanych w Partii Uchodźców, w Saksonii Dolnej, gdzie partia ta straciła 13 mandatów w wyborach i nie zebrała nawet 5 proc. głosów, nie może być pewną przesłanką dla zmiany naszego stanowiska?

— Nie. Możemy się cieszyć z tego wyniku wyborów, bo to jest poważny wskaźnik zmiany nastrojów społeczeństwa niemieckiego na lepsze. Ale uspokoję się dopiero wtedy, gdy ten proces społeczny znajdzie swój wyraz konkretny w zmianie oficjalnej polityki rządu niemieckiego i uznaniu przez ten rząd obecnej granicy na Odrze i Nysie. Jak dotychczas, rząd niemiecki popiera roszczenia rewizjonistów, a jego polityka jest polityką granic z roku 1937.

— Czy mamy oficjalny i wyraźny wyraz takiej polityki?

— Kanclerz Adenauer tak określił

politykę niemiecką na rewizjonistycznym zjeździe uchodźców niemieckich w roku 1960 w Düsseldorfie.

— Czym się tłumaczy istnienie elementów polityki germanofilskiej wśród niektórych przedstawicielstw narodowych wchodzących w skład ACEN'u?

— Jedyną granicą, jaką rząd niemiecki kwestionuje i do której rewizji dąży, jest nasza granica zachodnia. Inne narody nie mają spornych kwestii terytorialnych z Niemcami. Nie ucierpiały też w czasie wojny od Niemców tak jak nasz naród. Do tego dołączają się specyficzne tradycje historyczne, wciąż żywe zwłaszcza na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii, co u niektórych polityków przetrza się w proumieskie sympatie. Jeśli idzie o nas Polaków, to — mówiąc w największym skrócie — nie chcemy być wyzwalani przez Niemców...

— Czemu więc wobec tych sympatii, wykazywanych, jak się mogą domyślać, przez dużą część członków ACEN'u, stanowisko polskie, raczej odosobnione w swej wyrazistości i specyficy, nie zostało sfinansowane i sesja nie odbyła się w Bonn?

— Niemcy dali do zrozumienia, że ACEN bez Polaków ich nie interesuje...

— Czy poza sprawą niemiecką są jakieś kwestie sporne między nami i innymi przedstawicielami w ACEN'ie?

— Drugim powodem sporu między nami a Rumunami, Węgrami i in. jest odmienność poglądów na sprawę pomocy gospodarczej dla naszych krajów. Przeciwnicy naszego stanowiska uważają że wszelka pomoc wzmocniła pośrednio Rosję, a bezpośrednio miejscowe reżimy komunistyczne. My natomiast uważamy, że pomoc — choć przechodzi, bo w tych warunkach musi przechodzić, przez ręce miejscowych rządów komunistycznych — przynosi ulgę i wzmocnia nie rządy, ale odnośnie społeczeństwa. Reżimy są mocne nie pomocą gospodarczą z Ameryki, lecz siłą sowiecką przemocą fizyczną. Małe kliki rządzących dygnitarzy nie ucierpią głodu, w przeciwieństwie do szerokich mas narodu. Politykę pomocy prowadzimy od roku 1956 i doświadczenia nasze tę politykę usprawiedliwiają.

— Czy ostatnie incydenty, głównie nasze wyjście z sali obrad, nie naruszyły zasad współpracy z dziećmi narodów, reprezentowanych w ACEN'ie?

— Zasady współpracy naruszają nie słychany postulat, wysunięty pod moim adresem przez p. Ferenc Nagy'a, przedstawiciela wólnych Węgrów.

— Jaki postulat?

— P. Nagy uznał za niedopuszczalny fakt skrytykowania przez mnie Niemiec jako państwa, wchodzącego w skład NATO. Postulat ten uważam za niesłychany. Jest on bowiem sprzeczny z obyczajami, obowiązującymi na wszystkich konferencjach międzynarodowych. W żadnym wypadku nie zamierzam wyrzec się prawa do krytyki ani Niemiec ani żadnego innego państwa, jeśli jego polityka będzie kolidowała z interesami Polski. Oświadczyłem w Strasburgu wyraźnie i do słownie: jeżeli nie będziemy mieli możności wypowiadania naszych poglądów, to nie mamy po co zasiadać w ACEN'ie. Oliwy do ognia dolało zachowanie się dra Dimitrowa, agrariusza bułgarskiego, który przewodniczył na końcowym posiedzeniu sesji strasburskiej. Nie zareagował on ani na treść ani na formę wystąpienia p. Nagy'a, wobec czego delegacja polska nie mogła postąpić inaczej, jak postąpiła: opuściła salę obrad.

— Współpraca jednak nie została zerwana?

— Nie. Pewne otrzeźwienie nastąpiło już w Strasburgu. Większość delegacji była wyraźnie zgorzona oświadczeniem p. Nagy'a i nie ukrywała potępienia dla formy, jaką swemu wystąpieniu nadał. Z wielu stron prosono nas, byśmy nie osłabiali ACEN'u, który bez udziału Polaków dużo by musiał stracić na znaczeniu. Ale ciąg dalszy nie od nas zależy. Nie zamierzamy usuwać się z ACEN'u, do którego założycieli należymy, ale też nie będziemy w nim odgrywali roli popychadła.

— Czy pana zdaniem incydent strasburski przyniósł szkodę sprawie współpracy?

— Szkody nie widzę. Raczej pozytywne.

— Dlaczego?

— Konflikt między nami a elementami germanofilskimi, który od dawna tlił się pod powierzchnią, wyszedł teraz na światło dzienne. I jestem pewny, że od tej chwili rozpocznie się proces ozdrowienia.

— Jaki jest skład delegacji polskiej w ACEN'ie?

— Każda delegacja narodowa składa się z 16 członków. Jeśli chodzi o delegację polską, to trudność w jej uformowaniu wynikała stąd, iż do założycieli ACEN'u należały dwie polskie organizacje, a mianowicie nasza Rada Jedności Narodowej oraz Polski Narodowy Komitet Demokratyczny p. Mikołajczyka. W r. 1955 Komitet Główny ACEN'u rozstrzygnął sprawę delegacji polskiej w ten sposób, że przyznał nam 11 miejsc, zaś komitetowi p. Mikołajczyka 5 miejsc. Niechętnie, ale przyjęliśmy to rozstrzygnięcie, natomiast p. Mikołajczyk go nie przyjął i do tej pory nie obsadził swych pięciu miejsc; jego PNKD przestał zresztą funkcjonować i stał się fikcją. Mimo to naszemu środowisku przysługują wciąż tylko 11 miejsc. Nie czynimy jednak wielkiej kwestii z tej sprawy. Znaczenie naszego przedstawicielstwa zależy bowiem nie od jego liczebności, lecz od powagi wystąpień. W głosowaniach zaś i tak każdemu narodowi przysługują równe prawa, t.j. jeden głos.

— Jak ukonstytuowana jest delegacja polska?

— Od roku 1954, bez przerwy i bez zmiany, co roku przewodniczącym delegacji polskiej wybierany jest p. Stefan Korboński. Wyrobił on sobie na tym stanowisku duży autorytet. W Strasburgu pracowaliśmy razem w kompletnej harmonii, jak dwa konie, co ciągną w jednym zaprzęgu.

— Czy mógłby pan prezes o przedstawienie pokrótce całej historii i celów ACEN'u?

— W roku 1949 powstała Rada Europy, z siedzibą w Strasburgu, jako jeden z podstawowych elementów procesu jednoczenia się Europy. W skład Rady wchodzi obecnie 17 państw Europy zachodniej. Jeszcze w r. 1949 wy-

stąpiliśmy z wnioskiem o dopełnienie Rady równoległą organizacją, złożoną z przedstawicielstw narodów ujarmionych przez imperializm sowiecki i odciętych od jednoczącej się Europy. Niestety, rząd francuski nie widział wówczas możliwości przychylenia się do naszej sugestii. Dopiero w roku 1954 powstał ACEN z siedzibą w Nowym Jorku, jako wyraz koncepcji uzupełniającej Organizację Narodów Zjednoczonych. ACEN składa się z przedstawicieli: Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii i Węgier. Odbywa swoje zwyczajne sesje z reguły jednocześnie z sesjami ONZ — we własnej siedzibie naprzeciw pałacu ONZ, udekorowanej sztandarami naszych dziecięciu narodów, co ma duże znaczenie jako demonstracja polityczna. Natomiast sesje nadzwyczajne ACEN'u odbywają się równoległe z sesjami Rady Europy, zazwyczaj w Strasburgu. W roku 1961 sesja odbyła się w Paryżu. Teraz Niemcy gotowi byli ofiarować gościnnie w Bonn...

— Jakie są konkretne osiągnięcia ACEN'u poza samym faktem demonstracji?

— Przedstawiciele ACEN'u kontaktują się z Departamentem Stanu w Waszyngtonie i co pewien czas odbywają tam konferencje, na których podnoszą sprawę odzyskania przez nasze narody niepodległości. Już samo utrzymywanie tego kontaktu uważam za duży sukces, jest to bowiem ze strony rządu amerykańskiego przejaw liczenia się z dążeniami naszych narodów. Innym przejawem działalności ACEN'u są objazdy stolic państw wólnych, w czasie których członkowie Komitetu Generalnego ACEN'u (po jednym z każdego narodu) przedstawiają rządowi i społeczeństwu krajów świata wolnego nasze postulaty i budzą zrozumienie dla naszych dążeń wolności-

wych. Rezultaty tej działalności są poważne.

— Jaki konkretny cel stawia sobie ACEN na obecnym etapie swych dążeń?

— Konkretnym celem wysiłków w obecnej fazie działalności ACEN'u jest doprowadzenie do tego, by sprawa odzyskania niepodległości przez nasze narody była wniesiona formalnie na porządek obrad ONZ.

— Czy nie sądzi pan prezes, że postawienie tej sprawy w ONZ i dyskusja nad nią spowodowałyby automatycznie rozwiązanie ONZ, a mianowicie wyściepanie Rosji?

— Nie. Była przecież dyskutowana np. sprawa Węgier. Dopóki nie zostaną poruszone wewnętrzne sprawy samego Związku Sowieckiego, nie ma on żadnego formalnego prawa do protestowania — kraje ujarmione są przecież uważane za „niepodległe”...

— Czy przewiduje się realizację tego celu — wprowadzenia niepodległości narodów ujarmionych na porządek obrad ONZ — w możliwie bliskim czasie?

— To zależy od ogólnej sytuacji międzynarodowej i od tendencji, jakie będą w danym momencie przejawiały się w polityce wielkich mocarstw. Wiemy, że są państwa już dzisiaj skłonne do postawienia tego zagadnienia, jak np. Kanada i Australia, ale nie chcą działać w odosobnieniu.

Rozmowa zmierza do końca. — Czy jest pan prezes prz co zadawany z istnienia ACEN'u i z naszego w nim zasiadania?

— Na oba pytania odpowiadam pozytywnie. ACEN jest instytucją szeroko znaną, powszechnie w świecie uważaną za autentyczny wyraz dążeń i pragnień narodów Europy środkowo-wschodniej. Dla nas Polaków jest ACEN trybuną międzynarodową, z której zabieramy głos, określając nasze stanowisko polityczne. W tym sensie ACEN jest użyteczny — więcej, jego istnienie jest koniecznością. Gdyby go nie było, należałoby go stworzyć na nowo.

Świadomość chrześcijańska

W DWÓCH SZCZYTOWYCH OKRESACH HISTORII LITERATURY POLSKIEJ

Niedawno w Institut Catholique w Paryżu, w Sekcji Polskiej w ramach obchodu milenium, p. Irena Gałęzowska mówiła w języku francuskim na temat świadomości chrześcijańskiej w literaturze polskiej wielkich jej okresów.

Ze względu na kapitalne ujęcie streszczamy go dzisiaj.

I STNIEJE wiele kierunków moralnych, wiele prądów duchowych, z których każdy w odmienny sposób kształtuje świadomość człowieka, szukającego prawdy. Człowiek ma swobodny wybór między nimi. Dlatego mówiac o określonym człowieku, o jego dziele, mówiąc o jakimkolwiek zjawisku ludzkim, trzeba najprzód ustalić, do jakiego nurtu duchowego należy. W świecie zachodnim dominującym prądem duchowym i źródłem wszelkich jego koncepcji moralnych jest chrześcijaństwo, a stąd i właściwa mu świadomość. Chrześcijaństwo przeniknęło ten świat tak głęboko, iż są myśliciele, którzy nie wahają się twierdzić, że człowiek zachodni, jeśli nawet jest wrogiem religii chrześcijańskiej, w pewnym sensie nie przestaje być chrześcijaninem.

Lecz cóż to jest świadomość chrześcijańska? Świadomość chrześcijańska kształtuje się w człowieku według nauki Chrystusa i z niej czerpie wskazania, zatem przyjmuje też całą chrystusową moralność.

Wiara w Boga, w wartości wieczne, utwierdzone przez Zmartwychwstanie Zbawcy, którym przecież ustawicznie zagraża grzech — oto podstawa moralności chrześcijańskiej. Z tej metafizycznej podstawy wynika zatem i treść chrześcijańskiej świadomości. Stąd pochodzi właściwie jej poczucie wolności, ale i odpowiedzialności, stąd pragnienie doskonalenia się i wyjścia poza teraźniejszość, stąd wreszcie owa wizja wieczności, która dla chrześcijanina spełnić się może jedynie przez własne odrodzenie.

Świadomość chrześcijańska przeto nie jest źródłem smutku ni twórcy, nie jest świadomością pesymistyczną, przeciwnie, dzięki obietnicy zbawienia — technie otucha i optymizmem. Niemniej jest ona jakby owocem ustawicznego kryzysu, w etymologicznym znaczeniu tego słowa, kryzysu, który dokonywany się w człowieku — to jest krytyki,

sądu, rozeznania. Za rozeznaniem zaś błędów i winy idzie skrucha, za rozeznaniem krzywdy — zadośćuczynienie.

Potym wstępuje prelegentka stwierdza, że owa świadomość chrześcijańska najdobitniej wyraża się w literaturze polskiej w dwóch wielkich okresach jej dziejów: w wieku XVI — wieku złotym — i w epoce romantyzmu polskiego, w pierwszej połowie XIX stulecia.

Szczególnie znamiennym jest to zjawisko właśnie w t.zw. złotym wieku naszej literatury, kiedy warunki zewnętrzne nie powinny, zda się, wywoływać niepokoję ani wyrzutów sumienia, odwrotnie powinny być raczej budzić poczucie zadowolenia i niejako moralnego nasycenia. Bo przecież okres ten był naprawdę złotym wiekiem naszych dziejów i pod względem politycznym i ekonomicznym i kulturalnym.

Prelegentka daje bogatą i barwną charakterystykę tych czasów. Mówi o rozkwicie nauki i sztuki, o początkach literatury w języku polskim, o bliskich związkach Polski z Zachodem, o poecie — synu ludu, Janickim, który zdobywa laury w Wenecji; mówi o polskim parlamentarystyce, ale przede wszystkim podkreśla wolność religijną, która triumfuje w dawnej Rzeczypospolitej w Konfederacji Warszawskiej 1573 r. Na tle krwawych wojen religijnych na Zachodzie Europy ów pokój religijny w Polsce, oparty na zasadzie wolności sumienia jest pięknym dokumentem pojęć prawdziwie chrześcijańskich.

Lecz mimo takiego stanu ówczesnej polskiej literatury nasza złotego wieku pełna jest jakiegoś niepokoję i lęku, które chwilami brzmiały niemal tonem rozpacz. Nie usprawiedliwiają tego warunki materialne. Jest to tylko głos czy wyrzut chrześcijańskiego sumienia, które nie chce pozostać niemym ani

obojetnym wobec grzechu, gdziekolwiek go dostrzeżę, wobec błędów przeciw sprawiedliwości, rozumianej w duchu chrześcijańskiej „caritas”. Ten głos wyrzyna się z głębi duszy poetów, pisarzy, mówców, prawników; piętnują winy i zło społeczne i przypominają odpowiedzialność za nie, ukazując grozę przyszłości, jeśli nie nastąpi poprawa. Zastanawia tak często wręcz proza wiza tej przeszłości. M. Rej, Kochanowski widzą przepaść i gniew Boży przed sobą, a Stanisław Orzechowski powiada „Gdybyście rozcięli moje serce, znajdziecie tam jedno tylko słowo — zginiemy!”

Ale literatura, dokonywując jak gdyby rachunku zbiorowego sumienia narodu, wskazuje równocześnie program naprawy: moralne podniesienie narodu, reforma praw, obyczajów, stosunków politycznych i ekonomicznych w duchu równości, reforma wychowania, nauczania... Najpełniej ten program występuje u Andrzeja Frycza Modrzewskiego, nie ma zaś w sobie nic z utopii, jest konkretny, żywy, ułatwia życie. Przepojony do głębi świadomością chrześcijańską, na chrześcijańskich oparty pojęciach, stanowi on najprawdziwsze świadectwo swojej epoki.

DRUGIM okresem, w którym równie potężnie odzywa się w literaturze polskiej świadomość chrześcijańska, jest polski romantyzm. Choć w innych zupełnie warunkach zewnętrznych, choć na dnie narodowej klęski, choć inna w formie i metodzie, jest to ta sama świadomość chrześcijańska, ten sam bolesny niepokój sumienia, to samo pragnienie sprawiedliwości w pojęciu chrześcijańskim, to samo pragnienie odrodzenia wewnętrznego.

Dla Mickiewicza odrodzenie moralne jest pierwszym warunkiem dobra; dobro zaś to zwycięstwo sprawiedliwości. Wszystkie wloty poety w świat mistyczny to usiłowania owego odrodzenia, które sprowadzi Królestwo niebieskie na ziemię. Lecz życie wewnętrzne dowodzi swą wartością w czynach, w działaniu. Dlatego też u Mickiewicza świadomość chrześcijańska i gotowość do czynu, jako ta świadomość nakazuje — to jedno.

Głębsi sens mesjanizmu Mickiewicza polega na przekonaniu, że misją

FRANCJA

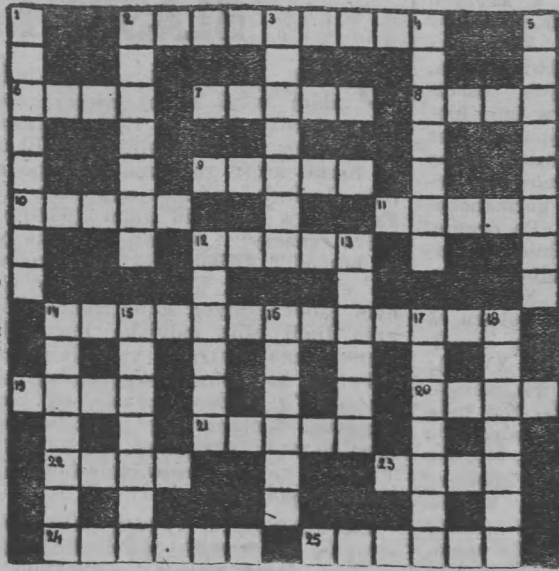
Wpłacili na lekarstwa do Kraju:

Bezimiennie — F. 20,00, 4013 L.S.Co. (kpt. Jan Jaworski) — 113,45, 4088 L.S.Co. (kpt. Kazimierz Rogoziński) — 50,00, 4096 L.S. Plat. (por. Stefan Kozłowski) — 40,00, 4507 L.S.Co. (mjr Teodor Kroja-Kopec) — 102,85.

Serdecznie dziękujemy!

(Dokończenie obok.)

KRZYŻÓWKA nr 509/63



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) w ogródkach wiejskich, w połowie do kąpielni?; 6) i 8) były zbyć? (4,4); 7) wrogom rzucasz pod nogi; 9) znana hiszpańska galeria; 10) pieczę pijaka; 11) mało skuteczną nauką; 12) klomb; 14) brawura wiatrakowa?; 19) star w społeczeństwie; 20) bohomaz; 21) z niego bogate okrycia; 22) i 23) cyrulik z zabawą?; 24) w piosence fałszywie płynie na Ukrainie?; 25) dzięki nim Kochanowski wdarł się na skałę pięknej Kaliopy, gdzie dotąd nie było śladu polskiej stopy; (wspak).

Pionowe: 1) gnębiona sprawa?; 2) najbardziej znane Platona; 3) zarządcą; 4) Tatarzy od części ciała (wspak); 5) ponure spojrzenie (5,3); 12) jedna Nowa na Pacyfiku, inna w Afryce; 13) kusi w stroju? (wspak); 14) zaprawdę!; 15) malarz polski; 16) pracownia, a do niego trzeba dwóch?; 17) odbija i leci?; 18) miejsce w walce i w życiu? (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 497/63

Poziome: 1) kostur, 4) mętlak, 7) strach, 8) Cejlon, 9) i 10) prymariusz, 12) bez, 16) i 17) pożyczka, 18) rzep, 19) pnie, 20) stacja (wspak), 21) Tyflis.

Pionowe: 1) kosz, 2) rybałt (wspak), 3) bachor (wspak), 4) moczars, 5) tajfun, 6) kuna, 9) proporcja, 11) zaganienie, 13) elegia, 14) dysputa, 15) sceptyk.

BRADFORD

Prezydium Zjednoczenia Polskiego i uchwała w sprawie Millennium

Prezydium Zjednoczenia Polskiego w Bradford, grupującego wszystkie miejscowe organizacje społeczne stanowią na rok 1963 pp. Marcin Czechowicz — prezes, Józef Wierzbicki — wiceprezes, Gustaw Żeromski — sekretarz, Zygmunt Nowak — skarbnik i Bolesław Astachowicz.

Na wiosennym kwartalnym zebraniu Zjednoczenie w Bradford postanowiło jednomyślnie wyrazić zaniepokojenie nieporozumieniami na tle prac nad uczczeniem Tysiąclecia Państwa Polskiego i wysłało w tej sprawie list do Zarządu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii.

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, EARLS COURT ROAD, LONDON, S.W.5. FRE 7888

PACZKI WOLNE OD CŁA

ŚWIADOMOŚĆ CHRZESCIJANSKA

Polski jest zachowanie, w formie czystej, ewangelicznej Dobrej Nowiny.

Metafizyczne poglądy Juliusza Słowackiego dojrzały dopiero w ostatnich latach jego życia; wszelako ziarna ich tkwią w całej jego twórczości. Słowacki potępia każdą rewolucję, w której sity przewodnią nie byłaby wewnętrzna siła człowieka wolnego, postusznego jedynie Bogu. W dobie Wiosny Ludów Słowacki wypowiedział słowa: jeśli Chrystus nie oświeci ludzkiego stada, jeśli będzie ono trwać w swym materialistycznym obłąkaniu — pasterz, pies i bicz pozostaną władcami narodów.

I wreszcie anonimowy poeta Wielkiej Emigracji, Zygmunt Krasiński, zarazem filozof, a raczej historiozof i moralista; jakiegokolwiek były wpływy zewnętrzne, którym ulegał i jakiegokolwiek przeżył młodzieńcy rzeźbity jego ducha i myśli — idea przewodnia, która przepoiła całą jego twórczość, jest jego własna, a jest to idea głęboko chrześcijańska, idea postępu w duchu chrystusowym, która osiąga szczytowy punkt w Nieboskiej Komedii, jako synteza zmagania dwóch światów, wyaturzonej przeszłości i brutalnej rewolucji.

Kończąc swą niezwykle ciekawą i piękną prelekcję, pani I. Gałęzowska podkreśla, że świadomość chrześcijańska wystąpiła w sposób szczególnie potrzebny w dwóch okresach historii myśli polskiej: u szczytów dawnej Rzeczypospolitej i jej cywilizacji oraz w okresie Wielkiej Emigracji, w okresie wzlotu literatury polskiej.

Jest to zjawisko wymowne.

Świadomość chrześcijańska wiodła kulturę duchową narodu na wyżyny, jakich ta kultura nie osiągnęła nigdy ani przedtem ani potem. Przewodziła jej zwycięstwem w chwilach pomyślności i w chwilach materialnego nieszczęścia. Przewodzić jej będzie zawsze, aby jej bronić i ocalić ją w obliczu niebezpieczeństwa.

D.B.

Komitet Domu Młodzieży urządził dla przedstawicieli wszystkich organizacji młodzieżowych w Londynie zebranie informacyjne w sprawie wspólnego domu. Zebranie to odbyło się w sali Domu Lotnika i w prezydium zasiadli: p. M. Hempel, przewodniczący Komitetu Domu Młodzieży (w skrócie: KDM) i asystował mu sekretarz generalny p. B. Indyk. Oprócz najbliższej zainteresowanych delegacji kilku ugrupowań młodzieży znalazła się na sali grupa osób z grona samej młodzieży jak i społeczeństwa starszego.

O ważności samej sprawy była już na tych łamach niejednokrotnie mowa w ciągu ostatnich kilkunastu lat, ilekroć wypływała ona w związku z projektami stworzenia odrębnego Domu Młodzieży, lub też stworzenia Ogólnopolskiego Domu w Londynie. Chodzi o stworzenie podwalin pod normalny rozwój życia społecznego i kulturalnego w polskim społeczeństwie emigracyjnym, skupionym w Londynie i jego okolicach. Myśl ta przewijała się też w interesujących wywodach przewodniczącego Komitetu, który obecny stan tej sprawy przedstawił w sposób następujący.

Komitet Domu Młodzieży, reprezentujący 10 organizacji młodzieżowych pracuje od stycznia 1961 roku nad zdobyciem własnego lokalu. Wśród tych organizacji znajdują się: AZS (Akademicki Związek Sportowy), SPUL (Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim), ZHP (Związek Harcerstwa Polskiego), „Pogon” (Brygadowe Koło Młodzieży), Koło Wychowanków Polskich Szkół Średnich w W. Brytanii, Koło Szkół Junackich i Kadetckich ze Środkowego Wschodu, Juwentus Christiana, Chór Akademicki im. K. Szymanowskiego, Związek Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźztwie — Koło Londyn i Związek Absolwentów Szkół Średnich. Wszyscy podzielają przekonanie, że należała

Polskie życie kulturalne

REALIZACJA KUPNA DOMU MŁODZIEŻY

praca organizacyjna wymaga posiadania centralnego miejsca spotkań.

Doświadczenia w tym kierunku poczynione zostały na gruncie Klubu Akademickiego, który w chwili gdy rozporządzał należytym lokalem liczył 250 członków. Najpierw był to Klub „Białego Orła”, potem „Ognisko”, później cały szereg innych lokali, (5 czy 6), z których kolejno musiał ustępować, aż w końcu został rozwiązany. Tradycje te starano się wznowić na terenie Domu Związku Robotników i Rzemieślników Polskich i Domu Lotnika. Ostatnio wyłonila się możliwość nabycia na bardzo korzystnych warunkach Domu Zw. Robotników i Rzemieślników na Bolton Gardens i Komitet Domu Młodzieży w wyniku swych dziesięcioletnich przeżyć starań i doświadczeń kupno to odpowiednio przystępował. Za kilka miesięcy, najdalej za pół roku, sprawę tę da się sfinalizować. Ostateczną decyzję jednak odroczone a to w związku z projektem stworzenia ogólnego Domu Młodzieży w Londynie. Wobec tego jednak, że sprawa ta utknęła na martwym punkcie, Komitet Domu Młodzieży postanowił już dalej z kupnem domu dla Młodzieży nie zwlekać, aby nie tracić więcej okazji ani czasu, który może być z pożytkiem wykorzystany w życiu organizacyjnym. Poparcie w tym kierunku KDM otrzymał ze strony SPK, które zgodziło się w formie bezterminowej i bezprocentowej pożyczki przekazać na pewnych warunkach sumę 4.000 funtów — na kupno wybranego domu. Oferta ZRRP uważana jest za bardzo korzystną, gdyż opiewa na ok. 5.500 funtów, co w tej dziedzinie stanowi cenę znacznie poniżej cen rynkowych, za dom o 4 kondygnacjach, z których — poza pod-

ziemiem i pierwszym piętrzem przeznaczonym na salę zebrani — wszystkie inne są wynajęte na dobrych warunkach. W podziemiu utworzono już lokal klubowy, a reszta planu urzeczywistniona będzie stopniowo po nabyciu obiektu.

Własność domu oparta będzie na powiernictwie. Komisja powierników będzie działała w imieniu członków założycieli Domu. Do Komisji powierników wybrani zostali pp. inż. arch. O. Stepan — z Koła Szkół Junackich i prezes Instytutu Badania Zagadnień Krajowych, inż. B. Indyk — pracujący w KDM od początku jego istnienia, p. M. Badołowicz — pracowniczka Home Office, jako Probation Officer do spraw matrymonialnych, i pp. S. Wasik i H. Zabielski z ramienia SPK, które zawarowało udzielenie pożyczki dwoma warunkami: 1) pozostania — zgodnie ze statutem SPK — na gruncie antykomunistycznym i 2) zwrotu pożyczki w wypadku realizowania koncepcji ogólnego Domu Młodzieży, w którym młodzież otrzymałaby takie same lub lepsze warunki lokalowe.

W tej sytuacji na sfinalizowanie zakupu domu potrzeba jeszcze 1.500 funtów, w tym celu też zorganizowana została akcja zbiorkowa przewidująca wydanie odpowiednich znaczków i cegiełek. Suma 4.107 funtów pochodzi z funduszu 6.600 funtów przekazanego przez płk. K. Rzyzińskiego SPK z funduszy powojkowych, jako jedynej organizacji posiadającej wówczas konto bankowe. Z tej sumy zużyto 97 funtów — na koszty adwokackie związane z kupnem pierwszego obiektu na „Dom Młodzieży” w r. 1951, gdy do ostatecznej transakcji nie doszło. Następnie 2.000 funtów przyznano na cele Fawley Court. Przekazanie reszty na zakup domu jest wynikiem 12 lat starań KDM. Mówca dał przy tym do zrozumienia, że starania te były bardzo uciążliwe, długotrwałe i często bardzo nieprzyjemne. Nie mniej KDM stanął na stanowisku, że wobec ostatecznego pomyślnego załatwienia sprawy należy o tej przeszłości zapomnieć i przyjąć ten fundusz w formie, w jakiej jest obecnie zaofiarowany. Warunki zawarowane przez SPK są zupełnie oazywiste i wiadomo, że poza tym nie należy się liczyć z żadnymi przeszkodami w dalszej pracy „Domu Młodzieży”.

Nad tym oświadczeniem rozwinęła się potem dyskusja, w której m. in. E. Czerniawski powołując się na swe doświadczenia w analogicznej sprawie, a mianowicie Domów Akademickich w Polsce przed wojną, wysunął szereg propozycji, związanych z uzyskaniem brakujących 1.500 funtów — przy czym niektóre z tych propozycji pokrywały się już z projektami wypracowanymi przez KDM. Przy omówianiu rentowności zakupywanego domu wyjaśniono, że choć ciąży na nim bardzo wysoki podatek od nieruchomości wynoszący 720 funtów rocznie, to jednak przy najostrożniejszej kalkulacji dom ten jest samowystarczalny. Wliczone są w kalkulację nawet obciążenia wynikające z pożyczki na 7 proc. w wysokości 2.000 funtów na przeróbki i odnowienia.

Dla akcji zbiorkowej na brakujące pieniądze powołany został do życia Komitet Honorowy, w skład którego zechciały wejść najbardziej reprezentatywne osoby, jak gen. W. Anders, amb. Raczyński, prof. B. Helczyński itd. Naświetlona też została sprawa stosunku do Domu Młodzieży różnych instytucji prowadzonych przez starsze społeczeństwo dla młodzieży, jak Tow. Przyjaciół Teatru dla Dzieci i Młodzieży oraz Warsztat Teatralny Młodych. Okazało się przy tym, iż współpraca przewidziana jest w najszerszym zakresie, nie mniej te instytucje, które nie wyłaniają samodzielnych grup młodzieżowych, nie mogą być członkami założycielami domu. Przewidziana jest też kategoria ugrupowań młodzieżowych o charakterze współdziałających, a nie będących założycielami. W ten sposób sprawa została wszechstronnie naświetlona i należy się liczyć z dalszymi akcesami do KDM i akcji zbiorkowej.

Siedziba Komitetu mieści się na 42, Emperor's Gate, S.W.7. W dyskusji zabierali m. in. głos pp. L. Czerniawski płk E. Pfeifer, red. Ostrowski i p. Horoszewski. Członkowie Komitetu jak najbardziej kategorię zastrzegali się przed tym, aby akcja tworzenia centralnego Domu Młodzieży była w sroczeczności z tworzeniem domów regionalnych w różnych peryferyjnych dzielnicach Londynu lub na prowincji.

(a)

(n)

„Oby Bóg pozwolił wam jak najrychlej uprawiać ojczystą glebę”

zyczył generał Anders XIII Zjazdowi Rolników Polskich

XIII Walny Zjazd Związku Rolników Polskich w W. Brytanii rozpoczął się, jak corocznie, od publicznego otwarcia, w którym wzięli udział czołowi przedstawiciele niepodległościowej społeczności emigracyjnej, naświetlając w powitalnych przemówieniach ogólnie zagadnienia naszej krajowej i międzynarodowej sytuacji.

Płk H. Niedziałkowski, który wraz z pp. inż. L. Woronowiczem, płk. M. Kowalą i M. Woyną zajął miejsce za stołem prezydijskim sali Ogólnopolskiej, w której toczyły się obrady powitał na wstępie gości i delegatów, wymieniając w pierwszym rzędzie generałów W. Andersa i T. Bora-Komorowskiego, prezesów dr. T. Bieleckiego i A. Ciołkosza, dr W. Czerniawskiego, ks. prał. St. Belcha i licznie przybyłych delegatów organizacji społecznych. Z kolei inż. L. Woronowicz odczytał listy i telegramy od ks. prałata W. Stanisławskiego, prezesa P. Hecia-ka, Stowarzyszenia Lotników, TPP, oraz innych. Następnie przewodniczący wezwał zebranych do uczczenia pamięci Zmarłych, marszałkowej A. Piłsudskiej i członków Związku, którzy odeszli na zawsze w ciągu ub. roku.

OTWARCIE I MOWY POWITALNE

Jako pierwszy witał Zjazd, zaproszony na trybunę gen. W. Anders, życząc na wstępie polskim rolnikom w W. Brytanii i gdziekolwiek w świecie, aby Bóg pozwolił im możliwie najrychlej zacząć uprawiać glebę ojczystą. Charakterystycznie dając aktualną sytuację światową, „zimną wojnę” oraz rywalizację mocarstw, mówca stwierdził, że Stany Zjednoczone przedstawiają większą siłę od Sowietów, które ponadto targane są różnymi sprzecznymi siłami wewnętrznymi oraz stałymi niedomaganiem komunistycznej, nieuleczalnej gospodarki. Pogorszenie gospodarcze zaznaczyło się też ostatnio w Polsce, gdzie z wielką troską widzimy ludobójczą politykę reżimu, który popierając spędzanie plodu zwalcza przyrost ludności Polski. Spadł on ostatnio o 20 proc. w całej Polsce i o 80 proc. w Warszawie. Przewrotnie jest też stanowisko komunistów wobec Kościoła, który cierpi w Polsce prześladowania, podczas gdy równocześnie stwarza się pozory przychylności dla religii a oszukawczo wyzyskiwana jest ostatnia encyklika papieška. Polacy na emigracji których 10 milionów jest w krajach świata wolnego mogą odegrać poważną rolę w walce o niepodległość, która wymaga wytrwałości,

woli, charakteru i zgodnego podporządkowania wysiłków naczelnemu temu celowi. „Ładem, składem rody i narody żyją — nie składem gina”, kończył tymi słowami swoje powitanie gen. Anders, wywołując do jedności i harmonii wysiłków, na co zebrani odpowiedzieli hucznymi oklaskami.

Jako drugi przemówił ks. St. Belch, który powołując się na encyklikę papieškie i wskazania ojców Kościoła, wezwał do rozwagi, trzeźwości i harmonii w działaniu.

Z kolei obszernie, na szerokim tle politycznym mówił o zadaniach emigracji przez ENZ A. Ciołkosz. Podział świata, dokonany w Teheranie i Jaltie trwa dalej, a komuniści niezmiennie dążą do opanowania całej kuli ziemskiej. Komunistyczny ustrój został Polsce narzucony a święto PRL, obchodzone jest 22 lipca, czyli na pamięć przekroczenia Bugu — pod osłoną bagietów sowieckich — grupy komunistów polskich z Moskwy na czele z Bierutem, aby zakuć naród nasz w kajdany. Nie było też głosem polskim niedawne oświadczenie Gomułki, który bronił słuszności zwróconego przeciw Polsce, zbrodniczego paktu Hitler-Stalin z 1939 r. Wejść dzieje się w Polsce wiele rzeczy, od których pęka nasze serce, ale naród nie zapomniał o niepodległości, która pozostaje jego głównym celem. Temu celowi służyć również na terenie świata wolnego emigracja.

Jako ostatni życzyli pomyślnych obrad Zjazdowi Rolników mjr. Z. Bieńkowski imieniem Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii i p. J. Prokop ze Związku Harcerstwa Polskiego, kreśląc problematykę wychowania młodzieży w duchu narodowym na emigracji.

Na tym zakończyły się publiczne otwarcie XIII Zjazdu Rolników i po przerwie przystąpiono w zamkniętym gronie 64 delegatów z czego 6 pań kół Związku w Anglii, Kornwalii, Szkocji i Walii do obrad organizacyjnych pod przewodnictwem M.P. Konarzewskiego z Yorkshire.

UCHWAŁY

W wyniku ożywionej dyskusji Zjazd powziął szereg uchwał z których najważniejsze a ogólnego znaczenia podajemy w pełnym brzmieniu:

„XIII Walny Zjazd Związku Rolników Polskich w W. Brytanii: 1) przesyła braciom rolnikom w Kraju serdeczne pozdrowienia. Zyczy

im wytrwania, aż przyjdzie czas gdy będą mogli jako wolni polscy rolnicy siać ziarno na swych ojczystych zagrodnach ku pożytkowi niepodległej, demokratycznej i całej Polski.

2) z oburzeniem stwierdza, że w Polsce religia jest obecnie szykanowana i prześladowana. Rząd komunistyczny w Polsce robi wszystko, aby uniemożliwić nauczanie dzieci religii, bo ona jest przeszkodą w ich komunistyzacji. 3) podkreśla z wielką radością imponujące wyniki I Zjazdu Polaków, który odbył się w październiku ub. roku w Londynie. Był on dowodem, że nasza emigracja nie straciła swego charakteru politycznego i polskiego. Przewodzi ona nadal mocną akcję niepodległościową mimo wzmoczonej dywersyjnej działalności agentów reżimowych.

W następnym punkcie Zjazd zalecił swoim członkom należenie do przynajmniej jednej polskiej organizacji społ. niepodległościowej, świadcząc na rzecz Skarbu Narodowego, dbałość o nauczanie polskiego dzieci oraz popierania szkolnictwa polskiego. Ostatnie punkty dotyczyły fachowych spraw rolniczych, jak coroczne ustalanie gwarantowanych cen produktów, usprawnienie gospodarki, poprawa zarobków robotników rolnych i korzyści wynikające ze wspólnego zakupu środków produkcji, ku czemu służyć winny rejonowe grupy zakupu.

NOWE WŁADZE ZWIĄZKU

XIII Zjazd wybrał nowe władze w następującym składzie.

Zarząd Główny: prezes płk. M. Kowalewski, wiceprezes — ppłk. H. Niedziałkowski, sekretarz gener. — inż. L. Woronowicz, z-ca sekr. gen. — J. Litwiński, skarbnik — M. Woyno. Komisja rewizyjna: płk L. Lichtarowicz, K. Różański, inż. J. Firożyński, B. Tumitowski, S. Stecki.

Rada: przew. — A. Lubkowski (Devon), wiceprzew. — St. Krasiński (Sussex), sekretarz — St. Parol (Camarthen, Walia), członkowie — W. Amberg (Londyn), W.A.D. Buchowski (Essex), J. Gmerek (Evesham), E. Kamiński (Banbury), M.P. Konarzewski (York), S. Lisowski (Lampeter, Walia), Łozowski (Walia), T. Modelski (Devon), S. Pawłowski (Sussex), St. Rozwadowski (Devon), inż. Rusin (Szkocja), K. Walter (Kent), T. Zieliński (Devon).

BILETY
KOLEJOWE, SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane ze
sprowadzaniem rodzin z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
zajątwa

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39 Corporation St. :: MID 1526

**Polki protestują
przeciw dzieciobójstwu**
**Walne Zebranie Zjednoczenia
Polek w Londynie**

Doroczne walne zebranie Zjednoczenia Polek odbyło się 7 maja w przepięknej sali Ogniska Polskiego. Na przewodniczącą wybrano p. J. Hausnerową. Do prezydium p.p.: D. Czerniecka, J. Duceżyńska, Z. Gergovich.

W imieniu ustępującego zarządu sprawozdanie złożyła p. Anna Januszajtis.

Członkinie słuchały sprawozdania uważnie zadowolone z wyników i osiągnięć, tym bardziej, że wszystkie prace w każdej sekcji, sekretariacie i „Głosie Kobiet” zależą od dobrej woli członkiń i są wykonywane honorowo.

Wysłano do Kraju 475 paczek ogólnej wagi około 5,000 funtów. Wydatkowane na ten cel 300 funtów. — (Odziedziczenie żywności pochodziła z darów).

Udzielono dotacji na potrzeby Domu im. Ojca M. Kolbe i na inne cele 545 funtów.

Zorganizowano 22 imprezy jak: kiermasze, odczyty, wieczory towarzyskie i artystyczne.

Zebrań zarządu i poszczególnych sekcji odbyło się 80.

Listów, okólników wysłano 2.000.

Przygotowano i rozsprzedano 1650 kartek świątecznych.

Rozsprzedano i rozesłano 8,000 egzemplarzy dwumiesięcznika „Głosu Kobiet”.

Zorganizowano dla pensjonariuszy Domu im. Ojca Kolbe bibliotekę. Mieszka w nim 24 starszych pań.

Załatwiono zmianę podstaw prawnych. Z organizacji o celach społecznych i charytatywnych jak jest Zjednoczenie Polek na Emigracji wyłoniono spółkę akcyjną „Polish Women's Association Limited”. Zadaniem tej spółki jest administrowanie majątkiem organizacji i prowadzenie przedsiębiorstw.

Zorganizowano nową sekcję, której głównym zadaniem jest pielęgnowanie tradycji polskich i przekazywanie jej młodszemu pokoleniu. Sekcja wystąpiła z powodzeniem ze swoimi wyrobami na kiermaszu gwiazdkowym w „Ognisku” i wielkanocnym w sali parafialnej kościoła św. Andrzeja Boboli w Londynie.

Hotel przy 28 Warwick Rd., jest podstawą finansową organizacji.

Szczególne sprawozdanie finansowe złożyła skarbniczka p. M. Brzezińska. Po dyskusji, na wniosek komisji rewizyjnej, uchwalono absolutorium z podziękowaniem ustępującemu zarządowi.

**REZOLUCJA PRZECIW
DEPOPULACJI POLSKI**

Walne zebranie jednogłośnie uchwaliło następującą rezolucję:

„Walne Zebranie Zjednoczenia Polek na Emigracji wyraża podziw i składa hołd Matce Polce, która walcząc w Kraju z trudnościami i prześladowaniami przez władze komunistyczne, potrafiła utrzymać życie rodzinne w myśl zasad chrześcijańskich i narodowych”.

Nowe władze Zjednoczenia Polek: p. Anna Januszajtis — przewodnicząca. Do zarządu weszły pp. M. Brzezińska, D. Czerniecka, Z. Michalowska, M. Narzyńska, T. Rutkowska, J. Stankiewiczowa, M. Sułkowska, H. Witkowska, E. Zamojska. Ponadto: „Polish Women's Association Ltd.” pp. Z. Gergovich, J. Hausnerowa, I. Komorowska. Do Komisji Rewizyjnej: pp. T. Daumanowa, I. Gruszkowa, A. Moszczyńska. Do sądu Koleżeńkiego: pp. M. Dubanowiczowa, W. Malinowska, M. Pawłowska.

JAN TOKARSKI

POLSKA I SOBORY *)

W ciągu tysiąca lat historycznego istnienia Polski odbyło się 12 soborów — nie licząc obecnego. Pierwszy z nich — a jest to równocześnie pierwszy sobór powszechny, odprawiony na Zachodzie, gdy wszystkie poprzednie zwoływane były na Wschodzie — odbył się w Rzymie na Lateranie w czasie, gdy u nas panował Krzywousty, w r. 1123. Drugi w rok po jego śmierci, 1139. Trzeci za panowania jego synów i wnuków, w 1179.

Tak więc 3 pierwsze sobory równoległe z historią naszego państwa odbyły się w wieku XII. Następne trzy zwołane były w wieku XIII, gdy Polska przeżywała okres największego rozbięcia dzielnicowego, ale gdy zaczęły się zabiegi o zjednoczenie narodu i scalenie państwa: w latach 1215, 1245 i 1274. Siódmy sobór paralelny przypada na wiek XIV, na pierwsze lata Łokietka, 1311—1312. Dwa kolejne odbywają się w wieku XV — konstancki i bazylejsko-ferraro-florenckorzyski. Dziesiąty i jedenasty na wiek XVI: są to piąty laterański (1512-1517) i trydencki (1545-1563). Wreszcie dwunasty w historii Polski a dwudziesty w historii Kościoła to sobór watykański pierwszy z lat 1869—1870.

Jaki jest udział Polski w tych soborach i rola odegrana przez jej delegację?

Ogólna odpowiedź prawdopodobnie jest taka: Ten udział jest w sumie niewielki, a rola minimalna. Tak niktła jest prawie żadna z punktu widzenia zarówno teologii jak nawet samej historii soborowej. Jednak szczegółowa odpowiedź nie jest łatwa. Po pierwsze dlatego, że sprawa ta nie jest wystarczająco zbadana i wysвітłona. Opracowania dotyczące udziału Polski w niektórych soborach są rozproszone po różnych czasopiśmiech specjalnych lub w mało dostępnych wydawnictwach. Nawet znane fakty nie zostały dotąd wykorzystane w pracy syntetycznej. Dopiero teraz w Kraju zapowiedziano syntetyczną i na źródłach opartą pracę prof. T. Silnickiego. O tych pierwszych soborach omawianego okresu wiemy bardzo mało nawet w ramach historii Kościoła powszechnego. W ramach zaś historii polskiej nie wiemy o nich nic. Biorąc pod uwagę pierwszych siedem soborów średniowiecza, od XII—XIV wieku, dokładniejsze wiadomości mamy tylko co do udziału polskiego Kościoła w czwartym soborze laterańskim za Innocentego III, w r. 1215. Wiemy który polscy biskupi na sobór wyjechali, którzy pozostali w kraju. Lecz nie znamy reprezentacji kapituł, zakonów, miast i książąt. I tylko pośrednio domyślamy się, że polska delegacja mogła na tym soborze odegrać nawet pewną rolę czynną i zaznaczyć się w zapropinowaniu i uchwaleniu niektórych przynajmniej kanonów. A ten sobór, ważny w dziejach Kościoła powszechnego, posiada może przełomowe znaczenie dla historii Kościoła polskiego. Poza tym szereg wiadomości mamy co do II soboru lyońskiego i soboru w Vienne.

A po drugie gdy nawet nie brak polskich opracowań, nie zawsze są to dokładne. Dotyczy to udziału naszego również na soborze w Konstancji, choć istnieje tu bardzo obfita literatura historyczna. Niektórzy historycy nazwali polską interwencję na tym soborze „moralnym Grunwaldem”, sugerując, że był to rzekomo jakiś polski triumf w dziedzinie ducha i myśli, równy decydującemu zwycięstwu nad krzyżakami na polu bitwy...

A jednak pomimo takiej emfazy, pomimo opracowań specjalnych, pomimo

że pisze o „Konstancji” nie tylko każdy podręcznik historii polskiej, lecz nawet każda historia naszej literatury, obawiam się że żadna z dotychczasowych prac nie powiedziała rzeczowo na czym polegała istota ówczesnego wystąpienia i udziału Polski. Piszący ulegali często sugestii, jakoby najważniejszą sprawą była teza o tolerancji, postawiona przez Pawła Włodkowicę; i jakby to było jakieś oryginalne odkrycie polskiej delegacji, a nawet polskiej myśli religijnej, filozoficznej i politycznej. Jednak tak nie jest. Tutaj bowiem Włodkowiec — w pewnym sensie interesownie, gdyż Polska znajdowała się w stanie oskarżenia o współdziałanie z poganami i „Saraceni” przeciw zakonowi krzyżackiemu — nawiązywał do tradycyjnej nauki Kościoła, mianowicie że w wykonaniu, w znaczeniu mierze pod wpływem teologów teutońskich, wykrzywionej, zasłoniętej, uważanej na niepraktyczną, etc., pomimo to jednak nie negowanej autentycznie chrześcijańskiej i kościelnej. Tymczasem istota wystąpienia Włodkowiec polegała na czymś innym — szerszym i bardziej ogólnym — niż raczej taktycznie wysunięta teza o tolerancji czy... przekreślająca tę ideę tolerancji walka z oskarżeniami dominikanina Jana Falkenberga: Bo delegacja polska będzie się wtedy domagała spalenia nie tylko jego „satyr”, lecz również jej autora... Lecz o tym wspomniemy w swoim czasie.

Brak opracowań lub braki w opracowaniach pochodzą i stąd, że całe dziedziny historii Kościoła polskiego leżą odłogiem. Nie istnieje zresztą dotychczas żadna historia Kościoła polskiego, napisana przez Polaka. Dopiero teraz w oparciu o Katolicki Uniwersytet Lubelski, a także i poza nim dzięki wysiłkom ks. kard. Wyszyńskiego, czyni się odpowiednie poszukiwania, zbiera materiały, bada źródła, opracowuje poszczególne zagadnienia w nadziei, że po pewnym czasie będzie można przystąpić do pokuszenia się o napisanie całości dziejów naszego Kościoła i że takie opracowanie jako tako odpowie wymaganiom naukowym wobec braku podstawowych prac wstępnych. Pomimo wszystko sporo prac historycznych kościelnych dziś w Polsce się ogłasza. Ale aż do okresu międzywojennego mieliśmy tylko jednego dużego miary historyka naszego Kościoła — ks. prof. Jana Fijałkę. Jeden człowiek nie mógł zrobić wszystkiego, ani odrobić zaniedbań właściwie już wiekowych. Szkoda wielka, że zaniechał źródłowe prac na tym polu ks. Kantak.

Jeśli w istniejących opracowaniach występują braki, to trzeba sobie zdawać sprawę, że zagadnienia soborowe należą do najtrudniejszych w ogóle w historiografii, gdy chce się o nich pisać rzeczowo i z sensem. Należą do najtrudniejszych, najzawilszych, najbardziej skomplikowanych i dlatego wymagają szczególnego przygotowania. Zastanówmy się tylko jakie warunki musi spełnić historyk, który by chciał napisać odpowiadające wymaganiom naukowym dzieło — nawet popularne — o historii soborów. Najpierw musi on znać cba języki starożytne, grecki i łaciński. Musi też znać ważniejsze języki nowożytne. Pierwsze by sięgnął po źródła główne, jakimi są kanony soborowe i cały szereg źródeł drugiego rzędu, a niezmiernie ważnych, np. próbki podrobienia kanonów soborowych jeśli o niektóre sobory chodzi, greckie i łacińskie polemiki, opisy uczestników, notatki, pamiętniki. Te ostatnie od czasu gdy sobory odbywają się już tylko na Zachodzie aż po XVI w. niemal wyłącznie pisane są po łacinie; lecz w odniesieniu do soboru trydenckiego także np. po włosku, jak to może zobaczyć każdy, kto przegląda olbrzymie folioty materiałów odnoszących się do tego soboru, a wydanych przez „Görres Gesellschaft”. Znajomość języków nowożytnych jest niezbędna żeby móc sięgnąć do opracowania krytycznego i rionografie.

Dalej temat ten wymaga gruntownej znajomości natury historii Kościoła, prawa kościelnego, historii ogólnej i historii kultury. Niezbędna jest przytem orientacja w teologii, bo bez teologii piszący nie będzie mógł zrozumieć zagadnień soborowych na tej najważniejszej płaszczyźnie, na której były wtedy stawiane i rozwiązywane. Zwłaszcza niezbędną jest znajomość eklezjologii, to jest teologii Kościoła, panującej w danym okresie. To są warunki elementarne. Jeśli ich brak, rezultatem będzie tylko karykatura, wykrzywienie obrazu poza wszelką możliwość rozpoznania.

Słysz się często, że każdy sobór jest wyrazem głębokiego kryzysu w Kościele i próba wyjścia z kryzysu przez znalezienie właściwych sposobów myślenia i postępowania. Zwłaszcza pierwsza część takiego stwierdzenia, podawanego bez należytych rozróżnień, musi budzić sprzeciw w imię historii i realizmu. Bo, najpierw, bez przesady można by powiedzieć, że w Kościele „kryzys” panuje zawsze; bez soborów więc musiałby trwać w permanence i nigdy się nie kończyć. Po drugie, właśnie w czasie szczególnie dojmujących kryzysów soborów albo nie było w ogóle (np. w wieku XIV, jeśli nie liczyć smutnej pamięci soboru w Vienne, który miał charakter zupełnie specyficzny; lub w wieku XVIII); albo gdy się odbywały, to nie realizowano ich postanowień, albo nie były one na miarę potrzeb; a więc nie były właśnie na miarę kryzysu. Np. nie weszły w życie postanowienia soborów wcześniejszego średniowiecza aż do drugiego lyońskiego; a znów sobory wieku XV i piąty sobór laterański, zakończony tuż przed arcykryzysem protestanckim, nie szukały szersze rozwiązań rzeczywiście potrzebnych.

Lecz jeśli trzymać się rozpozwanego stwierdzenia, że jednak sobory są wyrazem pewnego kryzysu, to musi się je ujmować także w łączności z kryzysami epoki, z jej prądami, nastawieniami psychologicznymi, umysłowymi, społeczno-politycznymi, z kierunkami życia.

Oczywiście odpowiedź na kryzys, udzielana przez sobór, przekracza płaszczyznę historii — tylko historii. Była i być musi odpowiedzią z płaszczyzny i na płaszczyźnie ewangelicznej. Jej celem musi być szukanie środków na takie oczyszczenie myśli i życia wierzących, by mogła przez nich przeświecać doskonałość boża, na której obraz ludzie zostali stworzeni. Choć dla człowieka nie wierzącego, a przynajmniej dla człowieka nie wierzącego, który nie usiłował znać etosu Kościoła, zdanie takie musi się wydać czymś frazesem, nie jest to jednak frazes. Chrześcijanin rozumie, że jest to rzeczywistość, dla której Kościół istnieje. Że jest to troska i zadanie, dla których Kościół został przez Chrystusa założony.

Jednak wszystko, co w członkach Kościoła przesłania obraz doskonałości bożej, czyli co osłabia intensywność życia chrześcijańskiego, posiada zawsze związek z nastawieniami czasu. — Dlatego też sobory należy traktować nie tylko w łączności z epoką, którą równocześnie przekraczają, wybiegając w przyszłość i pracując dla przyszłości, ale także jako płaszczyznę przecinania się rozmaitych tendencji: tych które zwrócone są tylko ku przeszłości; tych które mają silne jeszcze życie w teraźniejszości; i tych które sa w trakcie powstawania i przemiany. Przytem wśród elementów trwających należy odróżnić to co jest tylko upartym konserwatyzmem, od tego co stanowi wciąż żywą i ożywiającą tradycję czyli autentyczne podłoże i warunek rozwoju na podobieństwo żywej gleby warunkującej ciągłość i tożsamość procesu życia pomimo rytmu obumierania i odradzania się do życia w nowych formach.

Toteż prawdopodobnie z tych wszystkich powodów: że są to sprawy tak trudne, złożone i wielostronne; i że wymagają tyłu i tak licznych umiejętności: — naukowych prac o soborach w literaturze światowej nie jest żąd tak wiele jak by się można było spodziewać. Niektóre sobory do dziś dnia nie doczekały się należytego krytycznego opracowania. Opisy innych zaś są niemal od samego początku tak uwikłane w tendencje, stronniczość i jednostronność, że jak dotąd główną energię pochłaniają próby rozplątania historii ich historii. Dotyczy to zwłaszcza najważniejszego z wszystkich dotychczasowych soborów — trydenckiego, który też miał decydujące znaczenie dla dziejów Kościoła i chrześcijaństwa w Polsce. Dopiero obecnie jesteśmy świadkami pierwszej próby pisania jego obiektywnej historii, podjętej przez msgr. Huberta Jedin'a.

Drukujemy dziś pierwszy ze szkiców p.t. „Polska i Sobory”.

*) Ten cykl szkiców pisany był dla rozgłośni polskiej RWE we wrześniu i październiku 1962 r. i wygłoszony w nieco skróconej formie.

„POLAND AND GERMANY”
Kwartalnik wydawany przez Ośrodek
Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich
Adres korespondencyjny:
20 Princes Gate London S W 7.

JAN FRYLING

BLASKI I CIE

OKRES „przyjaźni chińsko-indyjskiej” trwał mniej więcej cztery lata, od roku 1954 do 1958. Nazywają go okresem „Hindi Chini Bhai Bhai” — od hasła, które rozbzmiewało po całych Indiach podczas odwiedzin Czu En-lai'a w kwietniu roku 1954-go a które znaczy: „Hindusi i Chińczycy są braćmi”! Świadcowie tego masowego entuzjazmu, podsycanego w równym stopniu przez rząd Nehru, Kongres Indii oraz indyjską Partię Komunistyczną, patrzyli z wielkim niepokojem na rozwój wypadków, zdając sobie doładnie sprawę, do czego prowadzi bratanie się z totalitarnym komunizmem. Ale głosy ich były tłumione, a nawet stosowano wobec nich represje policyjne.

Ten okres Pekin wykorzystał wszechstronnie dla swoich celów. Komuniści chińscy dążyli przede wszystkim do wykopania przepaści między Indiami a Zachodem, następnie zaś zaczęli formułować program idący znacznie dalej aniżeli proklamowana dawniej solidarność azjatycka.

Był to okres gorączkowej t.zw. wymiany kulturalnej, która dawała Chinom łatwą i pożądaną sposobność do prowadzenia w Indiach intensywniej propagandy komunistycznej.

I tak np. na wystawie sztuki chińskiej w Bombaju umieszczono wykalgrowane oświadczenie Mao Tse-tung'a, w którym m.in. znajdowały się takie słowa: „Indie, Chiny i Związek Sowiecki wraz z innymi miłującymi pokój krajami, muszą się zjednoczyć celem walki o pokój na Dalekim Wschodzie i na całym świecie”. Równocześnie propagandowa bibuła chińska zalewała Indie. Dzieła pisarzy komunistycznych, tygodniki, czasopisma, ulotki albo rozdawano za darmo albo sprzedawano na bazarach za cenę niższą od ceny papieru. Wydawnictwa te drukowano przeważnie w jednym powszechnym języku Indii t.zn. angielskim albo w licznych językach poszczególnych prowincji.

Jednakże dla realistów pekińskich miłość była miłością, a polityka polityką. Dołożyli oni starań, aby teren dawniejszych wpływów Indii kureżył się coraz bardziej. Pekin ogłosił, że Sinkiang jest obszarem zamkniętym i zażądał od Indii zwinięcia ich konsultatu w Kaszgarze. Podcięło to nie tylko stosunki handlowe Indii z Azją Środkową, ale pozbawiło je również ważnego punktu obserwacyjnego. Dzięki temu właśnie mogły Chiny zbudować pokrywom w latach 1955-1957 linie kolejową z Tybetu do Sinkiangu, przebiegającą przez terytorium Indii, na północny Kaszmiru, w Ladakh.

Od likwidacji Tybetu Pekin jawnie i konsekwentnie dążył do przzerwiania stosunków łączących Indie z tym krajem. Dotychczasowe prawa traktatowe Indii poddano rewizji i 29-go kwietnia 1954 podpisano nowy traktat, zawierający sprzeczowane po raz pierwszy, wspomniane poprzednio, oświadczenie „Pancz Szila” — „Pięć Zasad”. Entuzjazm komunistów, krypto-komunistów i fellow traveller'ów tak był wybuchowy, że powinien był stanowić pewną przestrożę i zalecić rozsądną ostrożność. Parę dni później Burma i Północny Viet Nam oświadczyły, że uznają „Pancz Szila” za podstawę swej polityki, a moskiewska „Prawda” pisała, że tych pięć zasad „zmniejsza napięcie międzynarodowe i niebezpieczeństwo wojny, a zwiększa możliwość współpracy między poszczególnymi narodami”. Alan Taylor, w londyńskim „Daily Herald” z 1-go lipca 1954-go roku, wyraził opinie, że rok ten będzie zapisany w historii jako rok spotkania Nehru z Czu En-lai'em. Fellow-travellerska Wszechindyjska Rada Pokoju opublikowała deklarację twierdzącą, że „Pancz Szila” stanowi gwa-

GALERIE
DU PONT - NEUF
26, Place Dauphine — PARIS 1er

EWA
BARCIŃSKA

OBRAZY OLEJNE I GWASZE
od 29 maja do 17 czerwca 1963
od godz. 14,30 do 20-ej
(za wyjątkiem niedziel)

KONFLIKT W HIMALAJACH (4)

WIENIE MIODOWEGO MIESIĄCA

ranje, która zabezpiecza Indie przed wojną i agresją, natomiast polityka neutralności nie chroni Indii przed napaścią ze strony Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze przed podpisaniem tego traktatu musiały Indie zwinąć swoją polityczną agencję w Lhasie, a zamiast niej otworzyły tam, w roku 1952-53, konsulat. Formalnie miała nowa umowa rozwijać stosunki kulturalne i handlowe indyjsko-tybetańskie, a również ułatwiać podróże i pielgrzymki obywateli Indii i Chin. Indie i Tybet otrzymały prawo posiadania w drugim kraju trzech agencji handlowych, oznaczono również miejsca targów, na których wolno wystawiać na sprzedaż produkty drugiego kraju, ustalono także szereg dróg dla podróży i pielgrzymów oraz wymieniono obowiązki podróżujących w drugim kraju.

W tym dokumencie dyplomatycznym dla oznaczenia Tybetu po raz pierwszy użyto określenia „Tibet region of China” — „Tybetańska strefa Chin”. Polskiemu czytelnikowi tego traktatu przypomni się zapewne podobnie dzwaczna i niemadra nazwa „Kraj Przywiałski”.

W notach, wymienionych równocześnie Indie zobowiązały się: 1) wycofać z rozmaitych punktów Tybetu załogę wojskową, liczącą ogółem 200 ludzi, a mającą za zadanie ochronę kupców i pielgrzymów indyjskich. 2) Odstąpić

Chinom instalacje pocztowe, telegraficzne i telefoniczne, które w Tybecie znajdowały się pod zarządem Indii. 3) Przekazać rządowi chińskiemu wszystkie budynki i grunta, należące w Tybecie do rządu Indii, zaś potrzebne tam Indiom domy i tereny wydzierżawić od rządu chińskiego.

Dla „okazania dobrej woli” rząd indyjski oświadczył, 30-go kwietnia 1954-go roku, że wszystkie wymienione w traktacie urzędy pocztowe, telegraficzne i telefoniczne odstępuje rządowi chińskiemu wraz z całym urządzeniem — bezpłatnie.

Trudno sobie wyobrazić entuzjazm, z jakim ogromna większość opinii indyjskiej przyjęła tę kapitulacyjną umowę. Powszechnie twierdzono, że zawarte w „Pancz Szila” zobowiązania wzajemnego poszanowania nienaruszalności terytorialnej całkowicie zabezpieczają granicę indyjsko-chińską. Liczne późniejsze fakty dowiodły, że cały ten traktat był dla Chin tylko „świszkiem papieru”, takim samym, jakim dla państw totalitarnych były w ogóle umowy międzynarodowe.

Pekin nie dotrzymał najdrobniejszego nawet szczegółu tej umowy. Natychmiast podcięto handel Tybetu z Indiami. Zrujnowało to tysiące ludzi po obydwu stronach granicy, dla których ten handel był podstawą istnienia, jakkolwiek wyrażał się naogół skromnymi cyframi. Tybet wywoził

do Indii przede wszystkim wełnę, obecnie zaś władze chińskie skierowały ją do Chin, ustalwszy jej cenę. Wśród innych, drobniejszych pozycji eksportu warto przypomnieć, że dawniej przeważnie z włosia wywożonych z Tybetu ogonów yaków wyrabiano peruki i brody amerykańskich „Santa Clausów”.

Po stronie tybetańskiej znajdują się niektóre miejsca święte dla buddystów indyjskich n.p. jezioro Manos Sarovar, w pobliżu przełęczy Karakorum. Od niepamiętnych czasów udawali się tam pielgrzymki z Indii. Tych właśnie pielgrzymów poddawaly komunistyczne władze chińskie, po obsadzeniu przez nie indyjsko-tybetańskiej granicy, najbrutalniejszej rewizji. Kazano im rozbierać się do naga, konfiskowano broń, którą zabierali ze sobą dla bezpieczeństwa w tych odludnych okolicach, odbierano im aparaty fotograficzne, lornetki itp. oraz każdy skrawek papieru. Tak samo traktowano kupców i innych podróżnych.

W tych trzech przeszło latach potraktowej miłości Chiny zdołały zupełnie wyeliminować Indie z Tybetu, mając równocześnie całkowite poparcie Indii na terenie międzynarodowym. Wtedy właśnie idą komuniści chińscy do Azji Południowo-Wschodniej z hasłem „pokojowego współistnienia oraz walki z imperializmem i kolonializmem Zachodu”. Chiny dla odgrywania takiej roli potrzebowały Indii, kroczących z nimi ramię przy ramieniu. Tego poparcia udzielił komunistom chińskim rząd Nehru bez zastrzeżeń, w naiwnym przekonaniu, że istotnym celem Chin jest rozwój wewnętrzny, po za którym pragną one tylko opanowania Formozy i miejsca w ONZ.

Ś.P. GEN. FRANCISZEK DINDORF-ANKOWICZ



Gen. F. Dindorf-Ankowiec urodził się 3 grudnia 1888 r. w Lwowie, gdzie ukończył szkołę średnią i wydział budowy maszyn tamtejszej politechniki (absolutorium w 1914). Wyszkolenie wojskowe otrzymał w austriackiej szkole oficerów rezerwy, a następnie był jednym z organizatorów i wykładawców Polskich Drużyn Strzeleckich w Galicji. Z chwilą wybuchu I wojny światowej został wcielony do formacji austriackich broniących Przemysła, po którego upadku dostał się do niewoli rosyjskiej. W czasie rewolucji 1917 r. nawiązał kontakt z ekspozyturą Związku Wojskowych Polaków w Samarze, przy pomocy którego zorganizował batalion polski w czerwcu 1918 r., wyzyskując walki czesko-bolszewickie nad Wolgą. Po miesiącu działań bojowych oddział ten wszedł w skład wojsk ppłka W. Czumi, a bezpośrednio w stan 1. pułku piech. ppłka K. Rumszy. W tej formacji kpt. Ankowiec dowodził batalionem we wszystkich walkach na froncie pod Ufą i w głębi Syberii aż do odwrotu pod Irkuck, skąd przedostał się poza zasięg wojsk bolszewickich na Daleki Wschód i powrócił w czerwcu 1920 r. do kraju z resztkami dywizji syberyjskiej. Tutaj objął dowództwo nad zreorganizowanym 1. p. piech. syberyjskiej, prowadząc go w bojach od rzeki Wkry do Chorzel nad granicą Prus Wschodnich. Okres walk 1918-1920 na Syberii i w Polsce odzwierciedlił płk Ankowiec w kilku wydawnictwach pamiątkowych, lecz najdobitniej w „Zarysie historii wojennej 82 syberyjskiego pułku piechoty”, dając w nim nie tylko opis działań bojowych, lecz również obraz przeżyć wewnętrznych żołnierza tego

pułku: stan ścierania się naturalnego pedu do powrotu do kraju z obowiązkiem trwania na osamotnionym posterunku syberyjskim, choćby z nieokreślonym kresem służby, a także przebieg stapiania się w warunkach bitwy warszawskiej starego, wytrawnego Sybira z młodym, niewyszkolonym ochotnikiem z Kaliskiego i Kieleckiego w jeden rdzenny typ żołnierza Polski Odrodzonej.

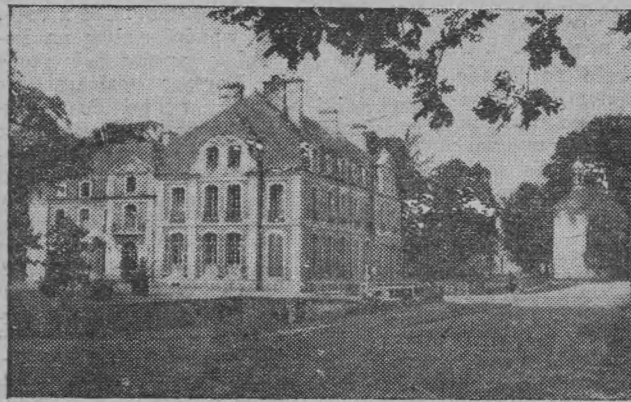
Po wojnie płk Ankowiec był dowódcą 82 p. piech. syber. aż do 1927 r., kiedy został dowódcą piechoty 30 dywizji w Kobylni. W jesieni 1937 r. otrzymał dowództwo 10 dywizji strzelców kaniowskich w Łodzi, z którą to jednostką przebył kampanię wrześniową 1939 r. od przedpola Sieradza na Główno-Otwock i dalej przez całą Lubelszczyznę do Tomaszowa. W tym obszarze — z resztkami innych dywizji polskich — dostał się do niewoli niemieckiej, którą przetrwał w obozach Koenigsteinu i Murnau. Tuż po zakończeniu działań wojennych objął komendę tego ostatniego obozu i w ciągu blisko dwu lat starał się — w myśl wytycznych Rządu i Naczelnego Wodza — doprowadzić do uformowania dalszego życia tych żołnierzy polskich, których pominieli sprzymierzeni, a nastawiali agenci reżimu warszawskiego. Była to akcja łączenia rozdzielonych przez wojnę rodzin i kierowania wszystkich żołnierzy do nowych miejsc osiedlenia. Dopiero po wykonaniu tych zadań gen. Ankowiec pomyślał o sobie i wraz ze sprostowaną z Kraju żoną i synem udał się do Anglii. Po zamieszaniu w Londynie przebiegał się żmudną pracą przez dalsze życie. Przed 5 laty ciężko zachorował i tylko dzięki sile ducha i pomocy swej małżonki zachował do końca swego żywota pogodną i nieugiętą postawę. Zmarł dnia 29 kwietnia b.r. Pogrzeb odbył się w Londynie dnia 9 maja na cmentarzu Acton. Zmarłego żegnali w imieniu Koła Generałów — gen. dyw. Z. Boshusz-Szysko i grona byłych podwładnych — płk dypl. S. Sztarjko. Generał był kawalerem orderu Virtuti Militari 4 i 5 klasy, Krzyża Niepodległości i Orderu Polski Odrodzonej oraz został odznaczony Krzyżem Walecznych — czterokrotnie, złotym Krzyżem Zasługi i Croix de Guerre z palmami.

Gen. Ankowiec był twardym człowiekiem dla siebie i pełnym dbałości o swoich żołnierzy. Własnej osoby nie wynosił, a nie pominął żadnej zasługi podwładnych. Trzymał rękę na pulsie psychiki żołnierza, znał jego dążenia i możliwości przyrodzone. Uczył go prawdy i prostoty w życiu, zaprawiał do wytrwałości i wszechstronnego rozwoju, dając własnym przykładem wzór równowagi ducha i ciała. Pamięć o tej świetlanej postaci zostanie na zawsze w sercach Jego żołnierzy.

RYSZARD MATUSZEWSKI

CICHA PRYZSTAŃ

Schronisko dla uchodźców polskich w Lailly en Val



Widok ogólny



Czytelnia

Otwarte w dniu 1 listopada 1958 r. Schronisko dla Uchodźców Polskich w Lailly en Val (Loiret), które mieści się we wspaniałym i pięknie urządzonej Châteaude Fontespertuis (położone o 5 km. od miasta Beaugency, a 23 km. od Orleanu), powiększone zostało obecnie przez rozbudowę przyległych budynków gospodarczych i od lipca b.r. znajdzie w nim miejsce 33 uchodźców.

Schronisko, którego właścicielem jest Fond Humanitaire Polonais, a którego Komitet Administracyjny urzęduje w Paryżu: (20, rue Legendre — Paris 17), stara się stale, aby warunki pobytu mieszkańców Schroniska były więcej niż dobre. A na te warunki składa się nie tylko świetne rozmieszczenie Uchodźców w czystych, słonecznych pokojach: (1, 2 i 3 osobowych), posiadających w większości przyległe łazienki i umywalnie z gorącą i zimną wodą, lecz dba również o stale wzbogacanie biblioteki przez zbieranie i zakup książek polskich, francuskich, włoskich i innych. Pisma niemal całej polskiej prasy emigracyjnej oraz wiele codziennych i tygodniowych pism francuskich widzimy stale na stolach w bibliotece. W dwu dużych jadalniach dawane są cztery razy dziennie smaczne, posiłki. Kierowniczką gospodarstwa, zawsze niestrudzona i czynna p. Maria Moldehaver, potrafiła nauczyć francuską obsługę kuchni, że w Schronisku od lat jada się „po polsku”... Telewizor i radio, komplety szachów i innych gier towarzyskich, pozwalają na godzinę spędzanie czasu. A kiedy jest słoneczna pogoda, to w starym, prawie dziesięć hektarów liczącym parku, spotykamy naszych miłych staruszków na przyjacielskich pogawędkach lub też siedzących na ławkach, zaczytanych w „Orle Białym-Syrenie”, czy w innych pismach.

W Schronisku jest również kaplica, w której często polski ksiądz odprawia nabożeństwa. W pobliżu kościoła we wsi Lailly en Val mieści się rów-

nież urząd pocztowy, jest kilka sklepów i barów.

Lubią pracować w ogrodzie, przydziela się małe działki. „Plody” zużywa pensjonariusz na własne potrzeby.

Na miejscu jest dobra opieka lekarska: (dwie pielęgniarki, doktor przyjeżdża dwa razy w tygodniu. W razie potrzeby — na każde żądanie). Mieszkańcy Schroniska korzystają z pomocy odzieżowej, pralni i innych dodatków, jak np. ze skromnego kieszonkowego i przydziału 15 paczek papierosów.

Czyż może być lepsze miejsce na spędzenie pogodnej i cichej starości, — zdala od zadymionych miast i osiedli fabrycznych, od trosk związanych na stare lata z walką o byt? Cicha przystań, naprawdę cicha przystań w Lailly en Val dla tych Rodaków, którym ta przystań jest potrzebna.

A teraz, na zakończenie, krótka informacja dla życzących sobie do Schroniska się dostać. Uzyskałem ją od dyrektora domu gen. Wacława Piekarskiego:

„Do Schroniska mogą być przyjęci Polacy obojga płci po przekroczeniu 65 roku życia, lub młodszy wiekiem, lecz posiadający 80 proc. niezdolności do pracy, stwierdzonej przez urzędowego lekarza. Wszyscy winni posiadać status uchodźcy. Celem dostania się do Schroniska zainteresowani winni zwrócić się do Bureau d'Aide Sociale swego merostwa; kompetentnym jest merostwo miejsca zamieszkania od co najmniej 3 miesięcy (t. zw. residence de secours). Podania składane w innych merostwach nie będą uwzględniane.

„PRZEGLĄD ZACHODNI” miesięcznik Zw. Polskich Ziemi Zachodnich poświęcony zagadnieniom polsko-niemieckim Ziemiom Zachodnim. Roczna prenumerata 18/ lub 1 dolary ZWIĄZEK POLSKICH ZIEMI ZACHODNICH 20, Princes Gate, London, S.W.7.

niwane. Wypelniając formularz podawany, petenci winni przedstawić: — Carte d'identite, Certificat de Refugie, Certificat de residence i Certificat de non-imposition, wydany przez urząd podatkowy (Percepteur). W podaniu należy prosić o „aide sociale aux personnes agees par l'admission dans une maison de vieillards”. Ze względu na rozbudowę Schroniska powstały znnowu możliwości przyjęcia. Zainteresowani winni tę okazję wykorzystać i nie zwlekać z załatwianiem potrzebnych formalności.

HOLANDIA W HOŁDZIE BOJOWNIKOM GETTA

W związku z 20. rocznicą powstania w getcie warszawskim, 18 rocznica wyzwolenia Holandii i zakończenia wojny, upłynęła pod znakiem uczczenia pamięci milionów Żydów zamordowanych przez Niemców.

Obszerne artykuły o powstaniu w getcie warszawskim ukazały się w całej niemal prasie holenderskiej. Oficjalne uroczystości uczczenia pamięci poległych i zamordowanych w ostatniej wojnie, odbywające się w całym kraju w dniu 4 maja, w tym roku w Amsterdamie ze względu na sabat odbyły się w dniu 3 maja. Głównym mówcą podczas uroczystości w Starym Zborze Luterańskim w Amsterdamie —

w którym udział wzięli najwyżsi dostojnicy państwowi, generalicja, oraz liczne delegacje kombatanckie holenderskie i zagraniczne z delegacją SPK na czele był naczelny rabin A. Schuster.

Po uroczystości religijnej udano się pod pomnik narodowy w centrum Amsterdamu na Damie, u którego stóp królowa Juliana i książę Bernard, a następnie premier, szefowie sztabów i liczne delegacje złożyły wieniec. Na honorowym, gdyż 7-mym z kolei miejscu wieniec w imieniu SPK złożyli prezes inż. J. Minkiewicz i sekretarz Z.H. Kuźma. Pod pomnikiem obecne były również poczty sztandarowe. Nie uszło uwadze, że książę Bernard stosunkowo długo salutował sztandar polskich kombatanatów.

Z okazji rocznicy wyzwolenia, holenderska federacja b. ruchów oporu wydała specjalny 72-stronicowy numer swego tygodnika „Geestelijk Weerbaar-Voormaling Verzet Nederland”, w którym opublikowane zostały dwa artykuły referenta prasowego SPK w Holandii, red. B. Strenka. Jeden poświęcony powstaniu w getcie warszawskim, a drugi przypominający zbrodnię katyńską.

BILETY, SPROWADZANIE RODZIN Z POLSKI

ANGLOPOL TRAVEL

Tel. FRE 1155

121, Earls Court Rd., London, S.W.5

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

SZAMPANIA I ZNÓW BURGUNDIA

NOTATNIK PODRÓŻNY

PRZEGLĄD SPORTOWY

REIMS

Podróżny w drodze z Brukseli do Dijon pojąć może łatwo kłopoty i apetyty Karola Śmiałego: Jego posiadłości flamandzkie oddzielone były od Burgundii ziemiami króla Francji, oraz Lotaryngią. Ten prosty fakt tłumaczy niekończące się pasmo wojen, najazdów, sprzeniewierzeń, zakupów i przywłaszczeń.

Jeśli o nas chodzi to poprawne stosunki z monarchami Francji pozwalają bezpiecznie wybrać drogę najbliższą: przez Reims. Mijamy Waterloo prawie bez zatrzymania. Mój przyjaciel, zaprzysięgły bonapartista, patrzy z obrzydzeniem i złością na skomercjalizowanie pobojuwiska narodów.

Granice mijamy, prawie jej nie zauważamy. Noc przespana w przydrożnym hotelu, w Ardenach, upływa szybko. Krótka przejażdżka poranna kończy się na gwałnym placu: stoi twarzą w twarz z uśmiechniętym aniołem — Aniołem z Reims. Idziemy powoli, przystając co krok przed rzezbami. Wszędzie ich pełno. Wypielniają portale, fasady, nisze. Prześcigają się w różnorodności i pięknie. Nie brak ich nawet na wysokości zewnętrznej galerii obiegającej apsydę.

Te oglądamy przez lornetkę: Zwierzęta i fantastyczne stwory — ka-

mienne ilustracje do średniowiecznego „zwierzyńca”. Nagle Janusz — mój towarzysz — zatrzymuje się w powolnym spacerze i starannie reguluje soczewki nastawiając je na maksymalną ostrość.

— Na coś się tak zapatrzył? Aha, już widzę, na tą syrenę! Rzeczywiście, cholernie pociągająca.

Po długiej chwili Janusz podaje mi lornetkę.

— Przyjrzyj się jaki ona ma tyłek! Najpiękniejszy chyba jaki w życiu widziałem.

— Czy też ona jest aby autentyczna? Z tej odległości trudno coś powiedzieć.

— A cóż cię to obchodzi? Niechby sobie była i wczorajsza, a choćby i jutrzejsza... czy to nie wszystko jedno gdy taka ładna?

— Spróbujmy dostać się do niej. Muszą przecież być jakieś schody na tę galerię.

— Nie. Daj spokój. Niech zostanie dla nas odległa. To dodaje uroku jej sprostności.

Z żalem na pół przekonany, ruszam za Januszem ku muzeum. W salach na pierwszym piętrze napotykam mnóstwo niespodzianek. Największa z nich to kolekcja rysunków wykonanych przez obu Cranachów, głównie zresztą przez starszego. Ten Niemiec potrafił, obok obrazów religijnych malować także owe stylizowane, manierystyczne rysowane dziewczęta, które — jak to ktoś z Francuzów zauważył — okrywały się powiewnymi materiałami raczej dla wzbudzenia pożądania niż dla okrycia nagości i na głowach nosiły płaskie kapelusze co czyniło je tylko bardziej rozebranych. A oto tu, w Reims obejrzyj można inną dziedzinę twórczości artysty: jego portrety — przeważnie księży i magnatów związanych z dworem saskim. Coś jakby środkowo-europejskie wydanie Claueta czy Holbeina.

Miło zaskoczeni kilku dobrymi płótnami impresjonistów i uroczy, wczesnym Picasso wychodzimy znowu na rozprężone słońcem ulice, by po drugiej stronie miasta odnaleźć — niegdyś klasztorny — kościół św. Remigiusza, gdzie przez romańską surowość przegląda już wyraźnie choć nieśmiało bardzo wczesny gotyk.

W drodze powrotnej orientujemy się że dawno minęła pora obiadu, że niemal zbliżamy się ku kolacji czy późnemu podwieczorkowi. Postanawiamy więc zaspokoić pierwszy głód byle czym. (— Byle to „byle co” było niezłe — zastrzeża się mój towarzysz). I oto szczęście nam sprzyja: u rzelnika znajdują się świeżo ugotowane karczochoy, w sąsiednim sklepie chevre — ser kozi, no i oczywiście bez trudu chleb i butelka wina. Odjeżdżających w pośpiechu, ku najbliższemu przydrożnym zarosłom, żegna uśmiech anioła i tyłek syreny.

SZAMPANIA

Późnym popołudniem błękit nieba maści się, matowieje. Upał przysgasa, a na horyzoncie obłoki nagle granatowieje. Rosną. Zbliżają się, kreskowe, bielskawicami. Łany dojrzewających zbóż stoją spokojnie pod niebem coraz dziwniejszym, mieniącym się w oczach, miejscami błękitnym jeszcze i łagodnym, to znowu sinym, przegowanym smugami ulewy. Gdzieś indziej mijające nas zdala chmury podkreśla od dołu rude pasmo.

Janusz, urzeczony grozą i pięknym widoku, zamiast dodać gazu by uciec przed nawalnicą, zwalnia, wlecze się, żeby tak rzec: noga za nogą, i rozgląda po rozległym widoku którego nieruchoma sielskość tym jest wyrazistsza że bramowana gwałtownością żywiołów.

Ulewy omijają nas, na razie, jakby zaskoczone i onieśmielone brakiem przed nimi lęku. Dojeżdżamy do wioski, gdzie kościółek łączący romańskie mury z renesansowymi witrażami, stoi nad strumieniem choć niewysokim brzegiem rzeki Aube! Trochę pod wpływem niepewnej pogody, a głównie ujęci nadobności miejsca, próbujemy znaleźć tu nocleg. Na próżno. Jedyna oberża pełna jest już amatorów rybołówstwa. Ruszamy więc dalej na południe by, nocą już, dotrzeć do najbliższego miasteczka.

Ledwie zamknęliśmy za sobą drzwi z trudem zdobytego pokoju i zgasił światło, gdy na dom, na miasteczko, na całą tę ziemię runęła nawalnica: huragan i ulewa widoczna w ruchliwej jasnej sieci błyskawicy. Zapatrzyony w prostokąt okna, zafascynowany, zapadam niewiadomo kiedy w mocny, zdrowy sen.

Poranek jest cichy i chmurny. Chwilami mrzy deszcz. Drogę tarasują polamane gałęzie, powywracane drzewa, a pola wyglądają żałośnie, stratowane i zwichrzone. Zbaczamy nieco na wschód, by zobaczyć kościółek w Cefonds, a głównie jego bogatą, romańską wieżę-dzwonnicę. Jeszcze kilka wiosek gdzie stare domy, kościół oraz malowniczy cmentarz tworzą melancholijną a ładną całość i jutro oto Bar-sur-Aube — otwarta brama do Burgundii.

Kościół św. Piotra, po burgundzku romański, otoczony drewnianymi galeriami, w jednej z wczesnorenesansowych kaplic ma na płaskim niemałym sklepieniu umieszczone stiukowe głowy — ni to portrety, ni symbole.

Niebo się wyjaśnia. Leniwie wraca pogoda. Przez kraj, lesisty teraz i pagórkowaty zbliżamy się do Dijon. Wydaje mi się — ale to napewno złudzenie — wydaje mi się że słyszę jakby śmiech. Czerstwa wesołość ziemi otacza nas zewsząd.

DIJON

Chodzimy zygzakiem, na chybił trafił, po uliczkach, placach i pasażach. Zaglądamy do bram. Zadzieramy głowy. Wszędzie pełno tu ozdobnej dziwności. Bogatym fryzmem pieni się pod stryminym dachem, opłata portal patacu, wije się kapryśnie kondygnacjami schodów.

Kościół N.M. Panny, wzniesiony w połowie XIII wieku — matka i wzór burgundzkiego gotyku cieszy harmonijną urodą, zdumiewa niezwykłością. Fasada, cała zjeżona groteskowymi postaciami ludzi i bestii pyszni się — wspaniała i dziwna — zasłaniając wieżę ukoronowaną zegarem z XIV wieku.

Kompleks budowli — „pałac książąt Burgundii” — w małym tylko stopniu odpowiada swej nazwie. W budynkach — przeważnie powstałych w XVII i XVIII wieku a więc już po ostatecznym włączeniu księstwa do Francji — mieści się obecnie magistrat i muzeum. Z dawnej rezydencji pozostały dwie wieże, kuchnia, kilka sklepionych komnat na parterze. Ale w salach muzeum pamiętki i wspomnienia po dawnych władcach i związanych z ich panowaniem świętością są liczne: Portrety książąt, obrazy, rzeźby szkoły burgundzko-flamandzkiej, wreszcie arcydzieła w swoim rodzaju: grobowiec Filipa Zuchwałego i Jana bez Trwogi.

W tych ostatnich zresztą raz i trochę skłonność do nadmiaru, do ostentacji. Niewielka ale doborowa kolekcja broni i zbroi nie tylko budzi szacunek groźną celowością ale zaciekawia bogactwem i pomysłowością zdobnictwa. Czekan i obuch — oba siedemnastowieczne i określone jako „niemieckie” — bez większego ryzyka można zaklasyfikować jako „prawdopodobnie polskie”. Również jeden z kordelasów, o karabelowej rękojeści, (o nieokreślonej w muzeum przynależności narodowej) można wciągnąć na listę przypuszczalnych poloników, chociaż moda na krótki miecz myśliwski o takiej właśnie rękojeści w pierwszej połowie XVIII wieku była powszechna zarówno w Niemczech jak i we Francji.

Galeria obrazów godna jest stolicy potężnych i świątliwych władców. Obok Flamandów — Sienińców, obok hiszpańskich „prymitywów” (by użyć tego popularnego w katalogach, choć niekoniecznie ścisłego terminu) francuskie portrety z XVIII wieku. Wśród nich „Maria Leszczyńska” Nattiera — bardzo poprawnie malowane uosobie nie cnoty i słodyczy. Te nattierowskie portrety Polki na tronie francuskim, liczne, rozsiane dziś po Europie, bardzo do siebie w wzajem podobne, mają niewątpliwie swą wartość: pozwalają zrozumieć wiele szczegółów prywatnego życia Ludwika XV...

Gdy opuszczamy podwórze pałacu, na jakiejś kościelnej wieży bije piąta. Ulice wypełniają się teraz ludźmi — powszednimi mieszkańcami tego niepowiadomego miasta, ludźmi wracającymi z codziennej pracy załatwianymi pośpiesznie ostatnie zakupy. I znowu ulice, kościoły, ozdobne, renesansowe kamienice. Narastające znużenie łączy wszystko co się widzi, słyszy i czuje w koronkową całość, w której czas uzupełnia się z przestrzenią.

WSZELKIE PRACE DRUKARSKIE wykonuje GRYF PRINTERS 171 Battersea Church Rd., S.W.11 Telefon: :: BAttersea 0879

Oslo, w maju
Wychowałem się na lwowskiej Pogoni. Wacek Kuchar znaczył dla mnie więcej niż arcybiskup Bilczewski. Choćby dlatego, że o Wacku można było śpiewać:

A kiedy wygrać się nie uda
My mamy brawa za wdzięki,
Bo Wacek na przepięknie uda,
No i króciutki spodenki...

A o dostojnym metropolicie tak zaśpiewać nie wypadało. A jednak, gdy w r. 1913 arcybiskup przyjechał udzielić sakramentu Bierzmowania miglancom w Zakładzie św. Józefa przy ul. Lelewela, który to zakład był w tamte lata dosyć elitarną 4-klasową szkołą „normalną” czyli powszechną, i łaskawie poglaskał mnie po czuprynie, kiedy klecząc witał go w bramie szkoły — było to dla mnie równie niezmiernie przeżyte jak podobne w sześć lat później, kiedy także poglaskał mnie po czuprynie sam Naczelnik Państwa Piłsudski, wychodząc z Hotelu Francuskiego w towarzystwie gen. Iwaszkiewicza. A ja, „stary piłsudczyk”, bo jeszcze z r. 1914, i odkomenderowany” z powrotem do gimnazjum bywający obrońca Lwowa z listopada 1918, stojąc na chodniku w gronie kolegów po prostu skamieniałem ze wzruszenia, z radości i z dumy po tym geście legendarnego Komendanta. W ogóle, ku zdziwieniu kolegów, miałem szczęście jako mikrus być „dotykany” przez dostojników wyzwolonej Rzeczypospolitej; w lecie tegoż samego roku, dokonywając na kolonii letniej naszego gimnazjum aż w Myślenicach, witałem wierszem przejeżdżającego tamtędy gen. Józefa Hallera, za co oczywiście znowu zostałem poglaskany. Prawdę mówiąc, nie ma na mojej głowie ani centymetra kwadratowego, którego nie pomalowałybyśmy dłońmi. „Boski” komik Józef Solnicki i zmysłowa Judyta z „Księża Marka” Wanda Siemaszkowa także mnie miętosili.

Ale Wacek — to było co innego. Wacek nie był dostojnikiem, był środkiem ataku Pogoni a to eo ipso stanowiło dostateczny powód, by w oczach naszych urastał jako ktoś grubo większy i ważniejszy niż dyrektor gimnazjum, prezydent miasta czy minister. Był bożyszczem całego Lwowa i 2/3 obszarzu Galicji, od Husiatyna do Tarnowa, dalej na zachód panował już Kałuża: oklaskiwało się go, podziwowało, patrzyło jak w tęczę, kochało, namiętno, cesało się z przedziakiem jak Wacek, płuło jak Wacek, chodzilo jak Wacek. Pielgrzymki pod wille pp. Kucharów przy ul. Sadownickiej były dłuższe niż koleje do spowiedzi wielkanocnej w Katedrze; bo w tej willi mieszkał Wacek a razem z nim Władek i Tadek i Mietek i Zbyszek. Często na boisku stawali kupą jak Kiemlicze. Pamiętam, podczas któregoś meczu, gdy Mietek w bramce zaczął puszczać gola za golem, znany z niewyparzonego języka Józef Garbień, słynny lewy łącznik, ryknął na całe boisko: „Wacek, daj temu gówniarzowi wcię w domu, żeby się naumiał grać”. Nigdy potem w życiu nie byłem tak pilny jak w końcowych latach pierwszej wojny światowej, kiedy front przemieścił się daleko od Lwowa a Pogoń znowu wyszła na boisko: przynosiłem mleko aż z Hołoska, bo go w mieście nie można było dostać, tasczyłem węgiel z piwnicy na trzecie piętro, wyprowadzałem „dzieci” na spacer (młodsza siostra i najmłodszy brata) a wszystko po to, by wycygnąć od matki parę szóstek na niedzielny bilet na mecz.

No dobrze, ale na jaką... ten przydługi wstęp, zapytacie drodzy czytelnicy. A na taką, że kiedy podczas meczu Polska-Norwegia dosłyszałem z boiska „ta ty ciężki frajerzy przestani nareści tyli kiwać” — to się rozkleiłem zupełnie. Zapadł się momentalnie stadion Ulleval i publiczność norweska a rozścieleło się przed oczami tamto pamiętne boisko za Stryjskim parkiem i długa do niego droga przez wertepy wóleczki, rozlały się na burej trawie czerwone koszulki i niebieskie spodenki, zawizowały zgrabne figury Wacka i Garbienia i gruby, spocony Bacz i zezowaty Słonecki i mały Sneider i prosty jak sosna Ignarowicz. Zbyszek Klimkiewicz krzyknął mi nad uchem „Pogoń tempu!” i byłbym przysięgał, że siedzę na meczu Pogoń-Cra-covia. Ale splotyły mnie oklaski, wróciłem na ziemię, przejrzałem „nie, to nie był Zbyszek, nie Pogoń, nie Lwów, był to mecz Polska-Norwegia w Oslo o 45 lat później.

Kto „tyli kiwać”? Był to Faber, lewoskrzydłowy, razem z Brychezem na lewym łączniku pruli przez pomoc i obronę norweską jak przez masło, każ-

da akcja ich siała panikę pod bramką norweską i biedni Norwedzy biegali bezzadnie jak stadko wyłknionych kurcząt. Ale pretensja była niesłuszna, Faber nie „kiwał” za dużo, akurat tyle ile trzeba było, a robił to porywająco. Dawno nie widziałem tak świetnej pary jak tych dwóch. Kto to był co tak skarcił Fabera w lwowskiej gwarze niestety nie dostrzegłem, z pewnością było to jakieś wygnane lwowskie dziecko.

Sześć razy przedtem walczyła Polska z Norwegią. Dwa razy wygrała, tyleż przegrała i dwa razy mecz zakończył się remisem, stosunek bramek 14:14. Najbardziej dramatyczny mecz wypadł w r. 1936 w Berlinie na Olimpiadzie, kiedy to Norwegia na 4 minuty przed końcem wyprzedziła na 3:2 i sprzatnęła Polsce medal brązowy.

Tym razem piłkarze polscy rozniesili Norwegów 5:2, prowadząc do przerwy 2:1. Przy stanie 3:2 dla Polski pojedynkę psychiczny o to kto strzeli następną bramkę wygrali Polacy, zamiast 3:3 na co się zanosilo wobec nieznacznej w tym okresie przewagi Norwegów zrobiło się 4:2 i Norwedzy skapanieli. Mecz był bardzo ładny. Kiedy obie drużyny wybiegły na boisko ogarnął mnie lęk. Jacy oni mali! — zakłopotalem się na widok filigranowych polskich graczy. Istotnie, przy wysokich i silnie zbudowanych byczkach norweskich Polacy gubili się. Ale rychło okazało się, że słuszny wzrost, wyśmienite zdrowie i żelazna kondycja to żadna przewaga skoro nie rozporządza się techniką i szybkością. W tej mierze Polacy przewyższali Norwegów o klasę. Cały czas grali ofensywnie i zdumiewająco szybko. Finezje techniczne wypadły bez zarzutu, piłka szła od nogi do nogi, nie było czekania, nie było rozglądania się, dolne przeważnie podania myliły Norwegów i trafiały tam dokąd były pomyślane. Cóż z tego, że gdy Norweg wpadał ciałem na Polaka to się Polak przewracał skoro Polak a nie Norweg pozbiarał się szybkiej i pierwszy zdążył do porzuconej piłki. Publiczność norweska co chwila pojełkiwała ooo i aaa nie mogąc przeboleć jak mali i zwinni Polacy objeżdżali szybyne dragi norweskie. Ale mimo zawodu i zady w sercu publiczność ta, gustująca raczej w grze koronkowej niż w grze na siłę, serdecznie oklaskiwała Polaków. Wszystkie bramki polskie były mądrze wypracowane a bomba Musialka wbita z 14 metrów wywołała entuzjazm. To jest bardzo inteligentny kierownik ataku, przypominał mi potrosze rudoego Nawrota z warszawskiej Legii w latach 30-tych. Prawdę mówiąc Polska nie miała słabego punktu, zapal, technika, szybkość, walka o każdą piłkę, strzał z każdej pozycji wszystko to stało na wysokim poziomie.

Przyjemnie było dla Polaka widzieć ten mecz. Oczywiście, kolonia polska z Oslo i najbliższej okolicy stawiała się w komplecie. Ale doping nie był potrzebny ponieważ mimo utraty pierwszej bramki zwycięstwo polskie czuło się na wyłot. Obok tak dalej, sezon międzypaństwowych spotkań rozpoczął się ufnie i obiecująco. Moim zdaniem, ta reprezentacja Polski, która tak wspaniale spisała się w Oslo, mogłaby wygrać nawet z Brazylią, naturalnie z tą Brazylią, którą widziałem w telewizji na przegranym meczu 3:0 z Włochami. Zwycięstwo w Oslo, na obcym boisku, jest cenne ponieważ Norwedzy w piłce nożnej bynajmniej nie są patałachami, reprezentują dobrą średnią klasę europejską, zeszłoroczny sezon zakończyli zwycięstwem 2:1 nad zawsze doskonałą Szwecją a to mówi samo za siebie.

Jan Kunert

Final meczu piłkarskiego o Puchar Anglii między Manchester United — Leicester City 3:1 (1:0). Przewaga drużyny Manchester, wartości 310.000 funtów nie ulegała wątpliwości. Cała drużyna grała doskonale a zwłaszcza znakomity Law (półlewy łącznik) i Creran jako prawy pomocnik. Obydwaj są Szkotami, przy czym Law kosztował 115.000 funtów a Creran 55.000. Tym finałem zakończył się sezon piłkarski w Anglii. Mecz oglądało 100.000 widzów, plaćąc olbrzymią sumę 89.000 funtów. Tak więc w przyszłym roku Manchester United reprezentować będzie Anglię w europejskim turnieju zwycięzców Pucharu, tak jak w tym roku barwy Anglii reprezentował z powodzeniem londyński Tottenham, bijąc przed tygodniem w finale Atletico Madrid 5:1. Puchar Europy dla mistrzów I lig zdobył po raz pierwszy włoski Milan bijąc portugalską Benfica 2:1.

NOWE FILMY

„WHAT EVER HAPPENED TO BABY JANE”

Filmowcy myślą, że można nam sprzedać każdą starzyznę i będziemy podskakiwać z radości. Film amerykański: „What ever happened to baby Jane” jest najlepszym przykładem błędnej drogi jaką idzie Hollywood.

Gdy na całym świecie się „coś dzieje”, to Hollywood uparł się sprzedać rzeczy nieaktualne za dobre pieniądze. Taki temat patologicznej zafascynacji siostry wobec siostry był dobry za czasów siostr Bronte, ale nie dziś. Jeszcze w okresie wojny sprzedawał nam film angielski podobne brechty, dziś już przestał, szukając w angielskiej nowej fali odrodzenia, gdy Hollywood nie zmienił się zupełnie. I dziwią się producenci amerykańscy, że ludzie nie chodzą, winiąc za ten stan nie siebie ale telewizję.

A telewizja mimo, że i ona wykazuje powolny postęp, przecież robi rzeczy straszne, na ogół znacznie gorsze niż film. Ale gdy ma się do wyboru płacić bilet i oglądać zły film, to lepiej pstryknąć telewizję i mieć kieszkać ale darmo.

Hollywood miał i ma wypróbowany sposób na snobów. Nęci ich „gwiazdami”, choć gwiazdy te dawno uległy dezintegracji. Mamy więc Bette Davis i Joan Crawford (inni w tym filmie się prawie nie liczą), jedna odstawia babę-potwora, druga aniołka skrzywdzonego. Można by się zdrowo pośmiać z tego filmu, gdyby nie jego groza, tak tematu jak i wykonania, z dodatkiem naprawdę niesmacznych dla samego widza choćby scen, jak podanie najpierw chorej siostrze upieczonej papugi, jej ulubienicy, a następnie tłustego szczura.

Potworności prawdziwych mieliśmy tyle w czasie minionych lat, że nie potrzeba nam jeszcze zatruwać wolnego czasu makabrą wymyśloną. Kogo epatuje Hollywood? Młodzież? Chyba tak.

Oczywiście, że nie da się wrócić do tych lat gdy filmy były czarownymi bajkami (mniej więcej do 1940), ale makabry to też baśń tylko zła bajka, mając senny, produkt złego pisarstwa.

No cóż, film idzie 133 minut, a dłuższe one, kategoria „X” czyli oglądać go można mając najmniej 16 lat. Producent R. Aldrich, reżyser również R. Aldrich. Nie dobrze gdy dwie funkcje skupia jeden człowiek. Scenariusz: L. Heller, oparte na powieści H. Farrell’a (a więc jednak są i takie makabryczne powieści). Wytwórnia: „Seven Arts Associates and Aldrich Production”. Dystrybutor: Warner-Pathé.

Stefan Legeżyński

CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ

Chmary żebraków oblegające wejścia do wszystkich kościołów nieustannie przypominają podróżnemu o jego rzymskich przeżyciach. Warto wydać kilka kreuzerów na wspomnienie tych rzekomych kalek, by obserwować obfite wyrazy ich wdzięczności, ale lepiej nie dopuszczać ich zbyt blisko, bo w Polsce nawet wśród żebraków istnieje nieposkromiony zwyczaj całowania. Gdy idzie się szpalerem żebraków do drzwi kościelnych, ze wszystkich stron z ruchomych stosów łachmanów wychylają się głowy usiłujące wycisnąć pocałunek na którejkolwiek części przechodzącej osoby. Ich żądza całowania jest tak nienasycona, że wszystko im jedno czy całują stopy, golenie albo poły płaszcz, a jeśli nie mogą dosięgnąć przechodnia rzucają się sobie w ramiona i obcałowują się sami.

A jednak pomimo tego utrapienia osobiście nie życzyłbym sobie, by Rzym albo Kraków oczyszczono z żebraków. Któż nie tęskniłby do Beppo z Hiszpańskich Schodów? I tak wiadomo, że nędza tych żebraków jest udana, a grają świetnie, wobec czego powinno się im dawać dwudziestą część tego co i tak się płaci w teatrze za znacznie gorsze przedstawienie. A czym byłaby jakaś ruina, jakies wejście do kościoła lub publiczne schody bez ożywiającej obraz postaci swojego żebraka? Ale mimo całej mojej stronniczości na rzecz ludzkiego gatunku muszę wyznać że wolę gdy żebrak nie posiada nóg, bo wtedy nie może ścigać mnie aż do domu w razie przypadkowego braku miedzaków w portmonetce.

Mimo na ogół marnego wyglądu starego miasta Kraków może się jednak poszczycić niemałą ilością dobrych i dużych rezydencji i pałaców, których partery — podobnie jak we Włoszech — służą jakimś tajemniczym celom. Aby dostać się na dobrze umeblowane pierwsze piętro, trzeba najpierw potknąć się o starą handlującą jabłkami kobietę, która chroniąc się przed zimnem ułokowała swój kram w samej bramie, a potem wymacać drogę pomiędzy magłem, starym furgonem i taczka — w niebezpiecznym polamania sobie nóg o któryś z tych przedmiotów. A gdy już człowiek dostanie się na schody, trzeba bardzo uważać, by stopa nie trafiła w którąś z dziur, jakimi zazwyczaj zięje klatka schodowa. I w dodatku jeśli kto jest nerwowo, może się obawiać czającego się w jakimś kącie rabusia, bo napady zdarzały się dość często za mojego pobytu.

Aby obejrzeć Kraków z najlepszej strony należy wspiąć się na kopiec Kościuszki, położony o dwie angielskie mile od murów miejskich. Stamtąd widać, że miasto położone jest u zbiegu dwóch rzek — Wisły i Rudawy i że pasmo zalesionych wzgórz zakończone wzniesieniem na którym się stoi, zamyka trójkąt utworzony zlewem tych rzek. Ten kopiec usypany rękami patriotów na cześć ich największego bohatera został brutalnie przeobrażony w fortecę przez Austriaków, gdy pogwałcili postanowienia Traktatu Wiedeńskiego odbierając wolnościowe prawa Krakowowi, który zgodnie z traktatem miał pozostać na zawsze wolnym miastem. Podróżnik, który zada sobie trud wejścia na kopiec i rozejrzenia się w okół, przekona się że Austriacy nie próżnowali tu od roku 1848. Jak Rosjanie uczynili cytadelę warszawską niezdobytą i jak Prusacy dokonali tego samego pod Poznaniem, tak Austriacy starają się dokonać czegoś podobnego z Krakowem. Upłynie wiele lat zanim roboty będą jako tako ukończone, a do tego czasu Kraków znajduje się na łasce Rosjan, którzy pierwszego lepszego dnia mogą dostać się tu poprzez bramy Michałowic, położonych na przeciwległym wzgórzu w odległości nie całych pięciu mil angielskich.

Bezpośrednio u stóp widza rozciąga się malownicze stare miasto, z którego środka jak gdyby z lasu kościołów wznosi się majestatycznie w górę zamkowe z królewskim zamkiem i katedrą bogatą we wspomnienia minionej polskiej chwały. Dziś tylko w pewnych godzinach dnia przez małą furtkę twierdzy (w sąsiedztwie groźnego działającego

W. H. Bullock

DOŚWIADCZENIA POLSKIE W CZASIE POWSTANIA 1863-4

(LONDON & CAMBRIDGE, MACMILLAN & Co. 1864)

Przełożył Janusz Jasińczyk

niącego przystępu) wpuszcza się tam Polaka, który chce odwiedzić groby Sobieskiego, Kościuszki czy Poniatowskiego lub pomodlić się we własnej katedrze. Czy można się dziwić, że Polacy nie są zadowoleni z austriackiego rządu, który w tak okrutny sposób rani ich uczucia narodowe? Niech mi wskażą Austriacy choćby jedną państwową robotę publiczną, jakiej dla rozwoju materialnego kraju dokonali w ciągu piętnastu lat, to jest od chwili, gdy przemocą opanowali Kraków! Linia kolejowa, która łączy Kraków ze Lwowem i ta, którą się obecnie buduje ze Lwowa do Czerniowic na Bukowinie, jest dziełem księcia Sapięhy. Jemu zawdzięcza Galicja ten skromny zakres rozwoju gospodarczego, jakim się może pochwalić. Gdyby jutro wypędzono Austriaków za Karpaty, jedynym śladem jaki by po nich pozostał byłoby parędziesiąt czerwieniejących ceglami, mniej lub więcej wykonanych fortów.

Trochę dalej od nas, na prawo od kopca, gdy stęmy twarzą zwróceni do Krakowa, płynie w zakrętach Wisła — rzeka tak bardzo polska jak Ren jest niemiecki. I tak jak niemieccy poeci lubią opiewać swą narodową rzekę, tak i Wisła jest przedmiotem pochwał wielu polskich pieśni. Jest tego godna jako potężna dobrodziejka ludzi: od swych skutych lodem źródeł w Karpatach wzdłuż całego swego biegu do morza pod Gdańskiem użyźnia dolinę, która od wieków dostarczała zboża krajom położonym nad Bałtykiem.

Od lekko sfalowanych ziem poza Wisłą oko przesuwając się stopniowo wyżej na Podkarpacie i próbuje przebić zasłonę chmur kryjącą granitowe wierzchy Tatr, które wyrastają nagle z równiny węgierskiej do wysokości 8.000 stóp.

Po drugiej stronie doliny, za kopcem Kościuszki, wznoszą się bliźniacze wieże klasztoru na Bielanach, wystające z zieleni lasu jak wielkie uszy sowy. Spośród wszystkich cichych ustroni, jakie widziałem — nie wyłączając Val Ombrosa — trudno mi sobie wyobrazić lepsze na ostatnie dni mojego życia. Mnisi tamtejsi należą do surowej reguły Kamedułów. Oblicze ich przeora to cud prawdziwy: tak doskonale wyraża spokój i ciszę tego miejsca. Muzyka jego głosu jest jeszcze cudowniejsza od twarzy, a włoski — na szczęście dla mnie — jego językiem ojczystym. Powiadają, że jest on członkiem jednej z najznakomitszych rodzin włoskich i że schronił się w Polsce w związku z nieszczęśliwymi okolicznościami rodzinnymi. Jest to jeszcze młody człowiek i nawet jego matka nie wie o miejscu gdzie się schronił.

Ostatni raz odwiedziłem Bielany w towarzystwie młodego polskiego oficera, który bardzo się odznaczył w czasie powstania. Spędziliśmy razem kilka godzin najprzyjemniejszych w moim życiu a po powrocie pożegnałem go umawiając się na następny dzień. Nazajutrz o świcie policja wkroczyła do jego pokoju: został wtrącony do więzienia, którego dotąd nie opuścił.

Jeśli chodzi o towarzystwo, jakie się spotyka w Krakowie, to muszę powiedzieć, że byłem zdumiony jego ele-

9) gancją i polorem. Jadąc do Polski wyobrażałem sobie, że znajdę tam ludzi mniej lub więcej dzikich i zupełnie pozabawionych luksusu i elegancji życia. Zopatrując się w nieprzemakalny płaszcz, w ciężkie buty i wełniane skarpety, w flanelowe koszule, mocny garnitur, w kawał mydła i szczoteczkę do zębów — sądziłem, że posiadam wszystko, czego mógłbym potrzebować w Polsce. Tak byłem tym przekonany że wszystkie pozostałe rzeczy pozostawiłem w kufrze u mojego bankiera w Wiedniu i do Krakowa wyruszyłem z jedną walizką. Myśl moja tak była zajęta powstaniem, że nawet nie przyszła mi do głowy obecność pań w Polsce.

Możliwość istnienia cywilizowanego życia w Krakowie zaświadczyła mi po raz pierwszy, gdy ku mojemu zdumieniu spostrzegłem, że mój angielski znajomy ubiera się w strój wieczorowy. „Czyżby zwariował?“ — pomyślałem sobie, ale nie przeszkadzałem mu dokończyć toalety.

W parę dni później otrzymałem pierwsze zaproszenie na przyjęcie wieczorne. Było to trzecie święto Wielkiejnocy, którą obchodzi się w Polsce bardzo uroczystie. Co miałem począć? Oczywiście chciałem koniecznie pójść, ale nie miałem w czym. Nie było czasu sprowadzić stroje z Wiednia, bo przyjęcie było tegoż wieczora.

Mówiąc krótko poszedłem... w bucikach i surducie portiera mego hotelu! Znalazłszy się w elegancko umeblowanym salonie, ucieszyłem się, że zgromadzone towarzystwo nie było liczne. Po przewyciężeniu mego początkowego zmieszania rozejrzałem się wkoło: zdziwiło mnie, że nikt nie zdawał się zwracać uwagi na mój dziwny kostium. Jestem pewien, że towarzystwo musiało po moim wyjściu dobrze się uśmieć z mego groteskowego wyglądu (i rad jestem, że się uśmieło, bo ja sam śmiałem się później z siebie i to nie raz), ale jak długo pozostawałem w salonie ani razu nie dano mi odczuć by w ubraniu moim było cośkolwiek śmiesznego.

Zostałem przedstawiony prawie każdej osobie w salonie. Zdumiała mnie biegłość z jaką całe towarzystwo mówiło po francusku. Jeśli chodzi o smak i elegancję, to naprawdę ani w strojach pań (choć wszystkie były w czerni) ani w ogólnym wyglądzie salonu nie było nic takiego, co by przypominało mi, że jestem w Krakowie a nie w Paryżu. Konwersacja płynęła swobodnie i cały wieczór minął tak przyjemnie, że zupełnie zapomniałem o swoim dziwnym wyglądzie i dopiero po powrocie do hotelu przypomniał mi o nim portier, domagając się zwrotu swego surduta i bucików w możliwie szybkim czasie. Zaraz nazajutrz rano napisałem do Wiednia o mój kufer i moja następna wizyta w krakowskim salonie była już bardziej udana.

Podczas gdy w towarzystwie angielskim konwersację zaledwie się „podtrzymuje“ — jak pieszczkę w zabawie zwanej wolantem — i przykre martwe pauzy zawsze prześladowają rozmawiających, w towarzystwach zagranicznych rozmowa płynie sama przez się jak woda, którą dla przyjemności można zawsze odkręcić lub zakręcić. Oczywiście, dla Anglika byłoby rzeczą łatwą udać pogardę dla takiej łatwości konwersacji u cudzoziemców i ująć się za rodakami jako dużo bardziej godnymi podziwu za pełną godności umiejętność małomówności, gdyby tylko ich uwagi — „niby wizyty aniołów: rzadkie i przedzielone długimi pauzami“ — nosiły znamię głębi myśli pozostających w odpowiednim stosunku do długości procesu ich wylegania, zanim się nareszcie pojawiają. Jeśli angielskie spotkanie towarzyskie — te nie poświęcone ciężkiemu jedzeniu lub tańcowi — mają być czymś więcej niż nudą, mężczyźni muszą się nauczyć więcej mówić a mniej myśleć w towarzystwie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KRONIKA WOJSKOWA

POLSKA. Nowa ustawa o powszechnym obowiązku służby wojskowej, ogłoszona w Dzienniku Ustaw nr 14/63, zmienia radykalnie obowiązki kobiet w tej dziedzinie. Jej artykuł 105 głosi: „Kobiety w wieku od 18 do 40 lat... uznane za zdolne do służby wojskowej kobiet, mogą być powołane w razie mobilizacji lub w czasie wojny do czynnej służby wojskowej w zakresie służb: kwatermistrzowskiej, administracyjnej, zdrowia, łączności, transportu, wartowniczej, przeciwpożarowej, obrony powietrznej kraju, obrony przeciwcemikalnej oraz w dziedzinach zmilitaryzowanych na czas wojny“. Niezależnie od tego mogą być powołane do czynnej służby wojskowej „w innych rodzajach wojsk lub służb na podstawie zgłoszenia ochotniczego“. W zasadzie o powołaniu i przydziale decyduje wojskowy komendant rejonowy. W myśl artykułu 110 ustawy powołaniu do czynnej służby wojskowej „nie podlegają jedynie kobiety, które są w ciąży, sprawują opiekę nad dzieckiem w wieku do 7 lat lub są obłożnie chore“. Dlaczego nie zaliczono do tej kategorii także wdów mających na utrzymaniu niepełnoletnie dzieci lub mężatek utrzymujących mężów-inwalidów, nie sposób zrozumieć. Największy niepokój budzi jednak uprawnie-

nie wojskowego komendanta rejonowego „przeznaczania“ kobiet do służby wojsk. nawet bez przeglądu lekarskiego.

W amerykańskim miesięczniku „Military Review“ pojawił się artykuł majora O'Ballance, który ocenia siły zbrojne Polski Ludowej następująco: Wojsko liczy około 200.000 oficerów i szeregowych i składa się z 14 dywizji, z których jednak tylko 8 posiada pełne uzbrojenie i wyposażenie. Dywizje strzeleckie mają przeciętnie po 10.000 oficerów i szeregowych, a dywizje zmechanizowane po 9.000 i około 250 czołgów. Wojsko przeciwlotnicze, liczące zresztą tylko 10.000, otrzymują od pewnego czasu nowe działka i rakietki M-2.

Lotnictwo posiada około 25.000 personelu i około 800 samolotów wyłącznie sowieckiego typu, ale przeważnie polskiego montażu. Najnowocześniejszych typów jeszcze nie otrzymało. Gros lotnictwa stanowią jednostki taktyczne i intercepcyjne. Lotnictwo bombowe, składające się z 1 „dywizji“ posiada jedynie bombowce „Il-28“. Lotnictwo pomocnicze, tzn. rozpoznawcze, transportowe i łącznikowe, posiada prócz niezbyt nowoczesnych samolotów także helikoptery.

Marynarka wojenna ma (razem z jednostkami obrony wybrzeża), około 15.000 personelu i posiada 9 okrętów podwodnych, 5 niszczycieli i około 60 mniejszych jednostek pływających. Stan liczebny sił sowieckich, stacjonowanych na obszarze Polski, nie uległ zmianie. Składają się one przede wszystkim z 2 dywizji zmierzających, przebywających na Dolnym Śląsku w pobliżu granicy polsko-niemieckiej. Zdaniem autora wspomnianego artykułu Moskwa nadal nie może ufać temu najsilniejszemu spośród satelitów europejskich — „mimo niesłabnących wysiłków propagandowych, mimo ciągłego straszenia wzrostem i możliwościami zachodnio-niemieckiej „Bundeswehr“ i mimo błędów i zaniedbań mocarstw zachodnich“.

W listopadzie ub. r. odbył się w Warszawie IV zjazd Ligi Przyjaciół Żołnierza, podczas którego postanowiono rozszerzenie jej zadań i działalności a w związku z tym także przemianowanie jej na Ligę Obrony Kraju. Przewodniczącym zarządu głównego LOK został w miejsce gen. bryg. Turkińskiego gen. bryg. Księżarczyk. LOK ma nie tylko szkolić technicznie przed-

poborowych i „zacieśniać więzi społeczeństwa z siłami zbrojnymi PRL i armiami krajów naszego obozu“, ale także „organizować w całym kraju społeczne podstawy obrony terytorialnej oraz podejmowanie i wykonywanie czynów społecznych na rzecz danych terenów, wiążących się z ich potrzebami gospodarczo-obrońnymi“.

W pierwszym tegorocznym numerze kwartalnika „Wojskowy Przegląd Historyczny“ pojawiły się m. in. dwa bardzo ciekawe, choć częściowo tendencyjne ujete artykuły: o udziale Polaków w hiszpańskiej wojnie domowej i o ukraińskich organizacjach wojskowych na ziemiach polskich.

Kage

DONCASTER

Powstaje organizacja Skarbu Narodowego

Staraniem mgr. Zbigniewa A. Scholtza, członka Rady Jedności Narodowej, powstaje w Doncaster komitet organizacyjny Skarbu Narodowego. Akcją zbiorczą na Doncaster zajmuje się obecnie p. Jerzy Wosik, a na rejon Hemsworth p. Jerzy Mozer.

ZE SZWAJCARII

Dnia 12. V. 1963 roku odbyło się w Marly le Petit pod Fryburgiem założycielskie zebranie Polskiego Komitetu Obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski w Szwajcarii. Obrady zajął rektor Kat. Misji Pol. w Szwajcarii o. prof. dr. J. M. Bocheński O.P., dziękując za przybycie delegatom komitetów lokalnych Milenium i przedstawicielom organizacji niepodległościowych. W obradach uczestniczył profesor O. Halecki.

Zebrań pod przewodnictwem prezesa Związku Organizacji Polskich p. A. Wasunga, przyjęli statut oraz wybrali władze komitetu. Do zarządu weszli prof. dr. A. Bronarski jako prezes, o. prof. dr. J.M. Bocheński O.P. i inż.-arch. Zb. Pregowski jako wiceprezesi, ks. E. J. Frania jako sekretarz i p. A. Kwapiński jako skarbnik. Na zjazd Komitetu Centralnego w Rzymie w dniu 17 b.m. delegowani zostali ks. E.J. Frania z ramienia Misji i inż.-arch. Zb. Pregowski z ramienia Komitetu. Dla uczczenia tysięcznej rocznicy chrztu Polski projektowana jest rozbudowa dotychczasowej siedziby Misji w Marly le Petit pod Fryburgiem.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Módlmy się za Ojca Św. Jana XXIII . . .

(Dokończenie ze str. 1)

zwłaszcza z audyencji publicznej u Papieża, która — tak niespodziewanie dla wszystkich — nie mogła się odbyć.

Pierwszy kryzys w zdrowiu Papieża zanotowano w dniu 26 listopada 1962 r. w czasie odbywającego się soboru i z początkiem grudnia. Dzięki najstarszej opiece lekarskiej nastąpiła pewna poprawa, która trwała mniej więcej do pierwszej połowy maja. Liczne obowiązki zewnętrzne (wspomnianym o nich wyżej) oraz legendarna niemal pracowitość Papieża, pragnącego jak najstaranniej przygotować drugą część soboru sprawiły, iż dość niespodziewanie nastąpił nowy kryzys. Zaczęło się od tego, iż w poniedziałek 20 maja wieczorem nastąpił krwotok żołądkowy, który pogłębił istniejącą już anemię. Lekarze zastosowali transfuzję krwi, która nieco poprawiła samopoczucie Papieża, i to tak dalece, iż nie ulegało wątpliwości, że tradycyjna audyencja zbiorowa odbywająca się w każdą środę dojdzie do skutku. Sekretariat wydawał do ostatniej chwili różnokolorowe bilety wstępu.

„Dzięki uprzejmości Ambasady R.P. w Rzymie otrzymałem także kartę wstępu tej treści: „Anticamera Pontificia — Permessio personale per partecipare all'Udienza Pontificia che avrà luogo il giorno 22 maggio 1963, alle ore 10.30 — Mario Nasalli Rocca Di Corneliano, Maestro di Camera di Sua Santità“. Ażeby zająć możliwie dobre miejsce ustawiłem się w pamiętną środę, 22 maja, już o godz. 8-mej rano, przy wejściu do Porta di S. Marta wraz z tysiącami innych pielgrzymów i turystów, by doczekać się zezwolenia na wejście do bazyliki. Straż watykańska w tradycyjnych mundurach i inni urzędnicy cywilni dbali o zachowanie porządku. Pogoda była wymarzona. Łagodne jeszcze słońce majowe obejmowało swymi złocistymi promieniami cały Plac św. Piotra. Czasami tylko rzucałmy wzrokiem w stronę prywatnego apartamentu Ojca Świętego, wierząc, że z tych właśnie apartamentów Jan XXIII zjeździe do bazyliki, by powitać turystów i swoich Rzymian. Gdy wreszcie wpuszczono nas do bazyliki okazało się, że już wiele osób wypełniało trybuny i ławy. Miałem tak świetne miejsce, że gdyby Ojciec Święty przybył do ołtarza z którego udzieliłby swego błogosławieństwa, znajdowałbym się od Niego zaledwie kilka metrów. Nawet nie żałowałem, iż musiałem oddać przy wejściu aparat fotograficzny. Nie wolno bowiem w czasie audyencji fotografować. Zresztą nie wolno w ogóle fotografować w bazylice.

Napięcie było coraz większe. I coraz więcej urzędników i dostojników watykańskich pojawiało się przed ołtarzem: w czerwonych szatach, we frakach, oficerowie straży szwajcarskiej, wyżsi dostojnicy kościelni. Nagle na pół godziny przed wyznaczoną audyencją wszedł na stopnie ołtarza któryś z prałatów i w języku włoskim ogłosił, iż audyencji nie będzie, że Papież natomiast powita wszystkich z okna swego prywatnego apartamentu, skąd udzieli swego błogosławieństwa i że wobec tego należy udać się na plac św. Piotra. Smutną tę nowinę powtórzono w języku francuskim, angielskim i niemieckim. Nie muszę podkreślać, jak wielki spotkał nas zawód, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko jakieś wyjątkowo ważne powody musiały spowodować taką zmianę w programie. O chorobie jeszcze niewiele wiadziiano, choć już o niej przebąkiwano.

Udaliśmy się więc na Plac św. Piotra, gdzie zebrało się ok. 15.000 osób, wpatrując się pilnie w okna z których na 10 minut przed godz. 10.30 wywisła tradycyjnym zwyczajem czerwony dywan na znak, że z tego okna ukaze się Papież (tak bywa co niedzielę o godz. 12-tej w południe). Istotnie kilka minut po 10.30 otwarto

okno, rozsunięto kotary i oto ukazała się maleńka, biała postać Ojca Świętego. Okrzykiem: „Viva Papa“ nie było końca. Powiewano chusteczkami, oklaskiwano serdecznie: my, świeccy, dziewczynki w białych, długich sukienkach i chłopcy w specjalnych frakach, księża, zakonnicy i zakonnice. Niektórzy uklekli, inni stali by lepiej widzieć Najwyższego Dostojnika kościoła katolickiego. W tym gwarze słychać było psykania setek aparatów fotograficznych.

W głośnikach rozbrzmiał głos Papieża. Mówił pogodnie. Najpierw głosem czystym i doniosłym, a potem słabszym, kaszląc dwu czy trzykrotnie, co zwróciło powszechną uwagę. Papież mówił, iż „oczekiwałem was w południe, lecz przyspieszyłem nieco spotkanie. A zresztą — dodał — „a San Pietro, dentro o fuori si sta sempre bene“ — wewnątrz czy zewnątrz św. Piotra — wszędzie jest dobrze. Po czym odmówił modlitwę „Regina Coeli“ — Królowo niebios, udzielając Apostolskiego Błogosławieństwa. Wspomniał także o przypadającym w dniu następnym Wniebowstąpieniu Pańskim oraz Zielonych Świątach. Przemówienie swoje zakończył słowami: „Saluti! Saluti!“.

„Dziennikarze fotografujący Papieża z teleskopów stwierdzili jednoznacznie, iż Papież był biały i zmęczony, choć niewątpliwie czuł się już lepiej po poniedziałkowym wieczornym kryzysie. Transfuzja krwi wzmacniła Go widocznie. Następnego dnia — czwartek 23 maja — Papież zjawił się ponownie w oknie i ponownie udzielił swego Apostolskiego Błogosławieństwa. Wyglądał lepiej, choć zjawił się tylko na chwilę, nie wygłaszając żadnego przemówienia, do którego tak przyzwyczaili swoich Rzymian.

Lekarze Papieża — prof. Pietro Mazzoni, prof. Antoni Garbarrini i chirurg Pietro Valdoni z początkiem tygodnia nie opuszczali Papieża ani na chwilę. Przypuszczają się powszechnie, iż jeśli nie było operacji w listopadzie, tym bardziej nie będzie jej obecnie, gdyż wiek Papieża na to nie pozwala. Poza ponownym krwotokiem żołądkowym (spowodowanym wrzodem a jak twierdzą inni rakiem) połączonej silną anemią doszły cierpienia spowodowane prostatą. Na usilne nalegania lekarzy Papież zgodził się na 9-dniowy urlop, który początkowo miał spędzić w pokoju wieży św. Jana znajdującej się na terenie Watykanu. Później plan ten uległ zmianie i Papież pozostał na ten czas w swym apartamencie, co bardziej odpowiada lekarzom. Będą bowiem mieli łatwiejszy dostęp i będą mogli roztoczyć lepszą pieczę nad chorym. Niemniej 81-letni Papież i ten okres spędzi na rozważaniach duchowych, które trwać będą od piątku 24 maja do 2 czerwca czyli do Zielonych Świąt. Do takich rekolekcji wezwał Papież całe duchowieństwo, jak to wynikało z rozwieszonych po kościołach rzymskich wielkich plakatów i z listu apostolskiego w którym uzasadnia powody dla których należy oddać się tym „ćwiczeniom duchowym“, by przygotować się do należytego uczczenia zesłania Ducha św. na Apostołów. Papież wyraził także nadzieję, że te rozważania w odosobnieniu pozwolą mu odzyskać siły konieczne dla dokończenia prac przygotowawczych drugiej sesji soboru.

„To dlatego w czasie tych dni przeważały codzienny tryb pracy kapłańskiej by in silentio i in spe oczekiwać mistycznego zesłania Ducha Świętego“.

Niemal w przeddzień swojej choroby Papież przyjął Episkopat Polski z Prymasem Polski ks. kard. Stefanem Wyszyńskim na czele. Prymas Polski wręczył Papieżowi album z pierwszej pielgrzymki na Jasną Górę, następnie wręczono portret płk. Frances-

co Nullo i starą odznakę pułkową 55 pułku im. Francesco Nullo a ks. biskup Jop z Opola album opolszczyzny. Na audyencji obecni byli Prymas Polski, ks. arcyb. Baraniak, ks. arcyb. Kominek i ks. biskup Jop. Audyencja trwała ok. pół godziny, po czym Papież przyjął na osobnej audyencji — trwającej 45 minut — Prymasa Polski. Według prasy francuskiej (Le Figaro 24. 5.) Prymasa Polski odwiedził przed wyjazdem do Polski zastępca sekretarza stanu Mons. Angelo Dell' Aqua, informując Prymasa, iż w stanie zdrowia Ojca Świętego nastąpiła pewna poprawa. Jest rzeczą charakterystyczną, iż mimo swej obecnej choroby w czasie której Papież nie przyjmuje żadnych wizyt, Mgr Dell' Aqua był przyjęty przez Papieża — już po wyjeździe ks. kardynała Wyszyńskiego, którego dnia poprzedniego osobiście żegnał na dworcu.

Gdy wieczorem gasnąć będzie światło — wcześniej niż zwykle — w pracowni Papieża w której będzie wypracowywał aż do Zielonych Świąt i gdy palić się będzie jedynie światło w pokoju sąsiednim w którym czuwać będą lekarze, najbliżsi współpracownicy i siostry zakonne, wszystkie myśli Rzymian i całego wierzącego świata kierować się będą w stronę Pałacu Watykańskiego tam, w górę, na trzecie piętro, do okna w którym tylekroć i od tylu lat ukazywał się Jan XXIII. Kierować się będą nie tylko myśli nasze ale i serdeczne życzenia powrotu zdrowia.

Paweł Heciak

KRONIKA TYGODNIA

22 maja

Z Moskwy dochodzą pogłoski o wielkiej czystce wśród personelu wywiadu.

W Genewie osiągnięto porozumienie między „Szóstką“, St. Zjedn. i W. Brytanią w sprawie obniżek tariff celnych.

Lord Hume, w przeddzień konferencji NATO w Ottawie stwierdził, że niebezpieczeństwo komunistyczne nie zmalało i że zagraża bezpośrednio Anglii.

23 maja

Z powodu pogorszenia się zdrowia Ojca Świętego Jana XXIII odwołana została w ostatniej chwili audyencja publiczna w bazylice św. Piotra w Rzymie.

Prez. de Gaulle udaje się w lipcu do Bonn, by złożyć wizytę oficjalną kanclerzowi Adenauerowi, pierwszą po podpisaniu traktatu francusko-niemieckiego.

24 maja

Chruszczow przestrzegł Stany Zjednoczone, by nie mieszały się ponownie do spraw wewnętrznych Kuby, gdyż powstać by mogła sytuacja groźniejsza niż w kryzysowych dniach października ub. roku.

25 maja

Prasa amerykańska donosi, iż pięciu a może i więcej kosmonautów sowieckich zginęło w lotach dookoła ziemi.

Fidel Castro zakończył swą kilkutygodniową wizytę w Rosji Sów. Jednocześnie ogłoszono w Moskwie, iż Chruszczow przyjął zaproszenie Castro przybycia z wizytą do Kuby.

26 maja

W Iraku rozstrzelano 11 oficerów w „sprzeciwianie“ się rewolucji z 8 lutego i za próby przywrócenia „reżimu Kasemę“.

27 maja

Stan zdrowia Papieża pogarsza się w dalszym ciągu. Papież cierpi na anemię i krwotoki żołądkowe.

W całej Grecji ogłoszono stan doraźny z powodu groźby rozruchów przez koła lewicowe, oburzone śmiercią komunistycznego posła. Poseł najechany

Organizacja ta nie jest ani ponadnarodowym jednolitym państwem, jak proponował dyktatorski dr Nkruma z Gany, ani nawet federacją. Trzydzieści państw członkowskich nie wyrzekło się swojej suwerenności i powołało jedynie cztery wspólne ciała konsultacyjne: 1) doroczny zjazd głów państw oraz rządów, mający pobierać uchwały większością 2/3, 2) radę ministerialną, która ma się zbierać przynajmniej raz do roku i pobierać uchwały zwykłą większością, 3) komisję medycyjn arbitrażową. Organizacja ta, której powołanie w Addis Abebie uchwalono, powstanie dopiero z chwilą ratyfikacji jej Karty przez co najmniej 2/3 trzydziestu państw członkowskich, co zresztą można — wobec płynności stosunków w tych młodych organizacjach politycznych i znacznych między nimi różnicach — uważać za jeszcze wątpliwe.

W Addis Abebie były w pełni reprezentowane — prócz miejscowej Etiopii — następujące państwa: Algieria, Burundi, Dahomey, Egipt, Gabon, Gambia, Gwinea, Kamerun, Kongo — Brazzaville, Kongo — Leopoldville, Liberia, Libia, Madagaskar (Rep. Malagasy), Mali, Mauretania, Niger, Nigeria, Republika Centralnej Afryki, Ruanda, Senegal Sierra Leone, Somalia, Sudan, Tanganika, Uganda, Wolta Górna, Wybrzeże Kości Słoniowej. Ponadto Maroko i Togo wysłały jedynie obserwatorów.

Cele Organizacji Afrykańskiej Jedności zostały określone w pięciu punktach: 1) wzmocnienie węzłów jedności między państwami „czarnego ładu“; 2) koordynacja wysiłków w kierunku podniesienia stopy życiowej narodów członkowskich; 3) obrona suwerenności i terytorialnej całości; 4) eliminacja kolonializmu we wszystkich formach z Afryki; 5) popieranie międzynarodowego współzawodnictwa, ONZ i Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka.

Front Syria—Irak przeciw Nasserowi

Tymczasem płk Gamal A. Nasser, prezydent Egiptu, noszącego nazwę — jak okazuje się — wciąż przedwczesną Zjednoczonej Republiki Arabskiej, przeżywa okres samych niepowodzeń. W Addis Abebie nie odegrał prawie żadnej roli, nie zdołał nawet przeprowadzić potępienia Izraela, a dał się zdystansować algerijskim Ben Belli, tak niedawno protegowanemu i uczniowi w dochodzeniu do władzy.

został przez motocyklistę i umarł w szpitalu od poniesionych kontuzji. Komuniści uważają, że wypadek spowodowany został przez policję.

28 maja

W Watykanie ogłoszono, że stan zdrowia Papieża jest „niezwykle poważny“. Papież cierpi od roku rodzaj żołądkowego raka, który jest przyczyną tak poważnego pogorszenia się zdrowia.

Na stacji kolejowej w Lizbonie wydarzyła się poważna katastrofa. Na jednym z peronów zarwał się dach zabijając 48 osób. Są podejrzenia o sabotaż.

Jeszcze gorsze czeka go jednak teraz po powrocie do Kairu. Kiedy opuszczał swoją stolicę miał świeżo za sobą podpisanie traktatu o powołaniu trzypaństwowej Zjednoczonej Republiki Arabskiej z delegatami Syrii i Iraku. Fotografie tej uroczystości, reklamowanej w całym świecie przedstawiały Nassera, kładącego 17 kwietnia br. swój podpis na dokumencie, który równocześnie z nim podpisywali generał L. Attasi imieniem Syrii i premier Iraku A. H. el Bakr.

Co zostało dzisiaj po sześciu tygodniach z tego traktatu, chociaż ani Syria ani Irak go nie wypowiedziały? Tymczasem w Syrii stłumiono rozruchy zwolenników Nassera i usunięto ich z gabinetu, a ostatnio w sposób jeszcze gwałtowniejszy i bardziej krwawy dokonano tego samego w Iraku. Rząd tegoż El Bakra, który z Nasserem podpisał traktat kairski rozprawił się z rzekomy spiskiem pronasserowskim w armii i administracji, mającym na celu obalenie rządu oraz „utopienie Iraku w morzu krwi“, jak brzmiał oficjalny komunikat bagdadzki.

Czy Zjednoczona Republika Arabska znów się rozlatuje?

Uprzedzając ten zamach rząd El Bakra aresztował — według pierwszych depeš — 180 oficerów i cywilnych, przy czym niektórzy z nich zostali natychmiast rozstrzelani. Wyznaczono też nagrodę na głowę Salama Ahmada, przywódcy pronasserowskich nacjonalistów, który był rzekomo organizatorem spisku. Konflikt Kairu z Bagdadem jest tym bardziej paradoksalny, że obecnym szefem Iraku jest ten sam płk Aref, który jako zwolennik Nassera był kiedyś skazany na śmierć przez poprzedniego dyktatora gen. Kasemę.

Tę polityczną obecną walkę rządów Syrii i Iraku z pronasserowcami jest różnica poglądów pomiędzy socjalistami partii BAAS a monopartyjnym programem Nassera, różnica która się zresztą od początku zarysowała. Okazuje się obecnie, że zarówno w Syrii jak w Iraku BAAS zdołała pozyskać armię i przeciwstawić się skutecznie na własnym wewnętrznym terenie dywersji agentów Kairu.

Na tle wytworzonej sytuacji spotkało Nassera jeszcze to upokorzenie, że nie odbył się zapowiadany „szczyt“ państw arabskich, na który zaprosił do Kairu po Addis Abebie — algerijskiego Ben Bellę. Opuścił on więc stolicę Egiptu przed zapowiedzianym terminem, podobnie jak niedawno Nasser Algierii.

W świetle rozgrodzonego konfliktu powstaje teraz zagadnienie, czy mamy do czynienia z rozlatywaniem się jeszcze raz Zjednoczonej Republiki Arabskiej, czy też chodzi tylko o jej wewnętrzny ustroj: centralistyczny i monopartyjny po myśli Nassera, albo federacyjny i demokratyczniejszy, jakiego życzą sobie przywódcy syryjscy oraz iraccy, którym prymat Egiptu nie smakuje zresztą także ze względów narodowych. Z.S.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0,75 — w Austrii 1,60 Sch. — w Belgii 7 br. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie \$0,20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANIJ: „Gryf“ Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0. Zmiana adresu 1s — W BELGII: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzosowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzosowska-Csaky, nr. 7315.20, podając swój dokładny adres. — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00, rocznie 28.00. Admin. „Syrena“ 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Libella“ Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; nr. konta poczt. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale, Lille (Nord) tel. 568-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50, wpłacać przez poczt.: Fr. Małeckie, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.) — W NIEMCZACH: St. Mikiciuk (13b) München, 45, Gablonzerstrasse 7/L — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Post

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35 esc., rocznie 120; A Zieliński Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110. — W SZWAJCARII: fr. szw. mies 2.00 kwart. 5.50; Maria Wasung, 6 rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron: mies. 3.60, kwart. 10.00, rocznie 36.00; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11, Stockholm. — WE WŁOSZACH: lirów: kwart. 700; W Zahorski, Associazione Combatt Polacchi Via Liccia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca“ Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00. — W AUSTRALII: „Vistula“ (Australia) Pty Ltd., Daking House Rawson Place Sydney; „Społem“ 64, Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23, Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart \$1.0.0A rocznie £3.15.0A — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“ London — W PŁD. AFRYCE: kwart 16 rocznie — 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf“ Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna \$2.10 półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: J. Biełkowski, 627 Tracy Street

Utica, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“ L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; „Polivalco“ 1029, Cuba St., Toledo, 17, Ohio i 6947, Oregon Ave., La Mesa via San Diego, Calif.

CENA OGŁOSZEN: za jeder cal przez jeden tam £1.5.0 wzgl. 1 cm. przez jeden tam NF. 7.50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London W.C.2; lub Odra Press Ltd., 20, Queens Gate Ter. S.W.7. Tel. KNI 6855

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“ 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445 We Francji: „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGram 0045. Konicie pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30

Ze piórem



datk do numeru 22/1090 (820) z dnia 30 maja 1963

RAWICZ

NA USTĄPIENIE

NIKITY . . .

Najgłośniejsza teraz sensacja —
Niech się podróż na księżyc schowa! —
To szeroko dyskutowana
Emerytura Chruszczowa.

Na oko, nic w tym dziwnego,
Bo, chociaż mężowie stanu
Odchodzą bardzo niechętnie
Z dziejowego zdarzeń ekranu.

Lecz jednak są jakieś zmiany,
Chociaż powolne, na górze:
Eisenhower jest emerytem,
Churchill też na emeryturze.

A nawet, choć się wydaje,
Że to fantazja jest szczerą,
Jest już termin definitywny
Ustąpienia Adenauera.

Czemuż więc huczek donośny,
Czemu prasa krzyków nie skąpi,
Gdy się i Chruszczow (jak mówią)
Też zdecydował ustąpić?

Odpowiedź jest niedwuznaczna —
Innego nie ma sposobu:
W Sowietach facet od władzy
Odchodzi prosto do grobu.

A już i w najlepszym razie
(Niech historycy się kłóć!)
Szef rządu ster puszcza z ręki,
Gdy go przemocą wyrzuca.

Tak działo się od początku,
Od zarania sowieckich dziejów,
Od pierwszych władców; rzec można
Od Piastów wprost kołodziejów.

Lenin zszedł z tronu do trumny,
A Stalin (z opisów wynika)
Wypuścił insygnia władzy
Z skostniałych rąk nieboszczyka.

Malenkow — ten uszedł z życiem,
Zgodziwszy się (polubownie?)
Zamienić maszynę państwową
Na skromną gdzieś elektrownię.

Pomniejszych władców sowieckich,
Co, kiedy byli na szczycie,
Nagle rozstali się z władzą
(A równocześnie i z życiem),
Policzyć całkiem nie sposób;
Więc można mieć wątpliwości,
Czy emerytura Chruszczowa
Przedstawia się jak najprościej.

Że niby sam, z dobrej woli
Władzy zrzekłby się majestatu,
Niczym de Gaulle, czy starożytny
Sławny rzymski wódz, Cyncynatus?
Że zamiast z obuwiem swym w dłoni
Zjednoczonym tupać Narodom
Zasiądzie cierpliwie gdzieś z wędką
Nad cichą, niezmaconą wodą?

Zamiast dyplomatami pomiatać,
Ministrów po kątach rozstawiać,
Nagle będzie się w przytulnej daczcy
Rozkoszami natury zabawiać?

Listonosza miłe pozdrawiać
W letnie ranki słoneczne, upalne,
Co doręcza uposażenie
Regularnie emerytalne?

Stare kości przy piecu wygrzewać
W dni zimowe, gdy mróz na oknie;
Winko sobie kaukaskie pociągać,
Gdy świat cały jesienią moknie —
Wszystko to są miłe marzenia,
I, choć serce ku nim zabije,
Lecz Chruszczow pamięta, że z władzą
W Sowietach oddaje się szyję.

Więc choćby nawet bardzo tęsknił
Do emerytalnej fufajki,
Bezpieczniej takie wiadomości
Od razu włożyć między bajki.

O KRĘGLACH I POPIERSIU MAO TSE-TUNGA

— Może wiatr je strącił? — Bo tam wiatry silne
jak cholera, pamiętam . . . Keith nie skończył zda-
nia, bo Allan poderwał go okrzykiem: „Uważaj,
trzeba w lewo, zmień kąt ramienia . . .“

Keith zdążył zastosować się do rady. Zmienił
kąt ramienia, podbiegł skulony pod wyslizgany trap
i potężnym pchnięciem całego ciała wprawił dREW-
nianą kulę w ruch po lewej stronie rzutni. Wpiliś-
my się oczami w odległy o kilkanaście metrów
otwór zastawiony kręglami. Przewracały się szyb-
ko; jeden, drugi, piąty, dziesiąty . . . Głośne brawo
i westchnienie triumfu z piersi moich, Keitha i
Allana i gderliwe „nieźle“ ze strony trójki prze-
ciwników. Pozostał tylko jeden kręgiel. Dygotał,
dygotał, chybotął, kiwał się i wreszcie zamarł w
bezruchu. Lecz i tak zdobyliśmy wielkie fory w
punktacji zespołowej, co Keith uczcił porozumie-
wawczym gestem polegającym na odwróceniu gło-

FP 2156 sup

O KRĘGLACH I O POPIERSIU (Dok. ze str. 1)

wy w stronę bufetu i wystawieniem w górę trzech palców prawej ręki. Bufet pokwitował gest okrzykiem: trzy małe jasne pod numer czwarty.

Graliśmy w kręgle. A rozmawialiśmy o zdobyciu szczytu Everestu przez ekipę amerykańską. Uwaga Keitha o wietrze dotyczyła popiersia Mao Tse-tunga.

O co chodzi? Zaraz uporządkujemy problemy.

Zacznijmy od kręgli. Stary ten sport — rzekomo znali go starożytni Rzymianie, którzy podpatrzyli go u jeszcze bardziej starożytnych Persów — przeżywa w Anglii odrodzenie. Zmieniono nieco zasady gry. Przede wszystkim unowocześniono atmosferę kręglarni. „Bowling Alleys“ są miejscami spotkań towarzyskich, często rodzinnych. Wygrawszony mecz kończyliśmy rozmowę w pięknie oszklonej kawiarni. Dotychczas zdobywcami Everestu byli Anglicy i pokrewni im Nowozelandczycy oraz Szwajcarzy. Obecnie dołączyli do zdobywców Amerykanie. Lecz co się stało z rzekomym wyczynem chińskim z zeszłego roku? Chińczycy oznajmili krótko, że szczyt zdobyli nie podając zresztą szczegółów z której strony i w jaki sposób. Lecz by wydarzenie uświetnić, wydzwignęli ze sobą popiersie Mao Tse-tunga, które na wieczną rzecz pamiętkę umieścili na szczycie. „Jak to zrobili“ — denerwował się Allan — „wmurowali czy tylko położyli na skale?“ Ile takie popiersie waży? Z czego je zrobili? Z marmuru? Z gipsu? Amerykanie stwierdzili, że na szczycie żadnego popiersia nie znaleźli.

„Może źle szukali“ — interweniował Keith. „Szczyt Everestu to nie Pustynia Gobi — odpowiedział Allan — szczyt to szczyt, kilkanaście metrów kwadratowych skały. I dookoła przepaść, ileś tam tysięcy metrów w dół. Jakby było popiersie to by było a jak go nie ma to znaczy, że nigdy nie było...“.

— Ale po co by mieli kłamać — upierał się Keith — co komu po takim kłamstwie? To nawet dosyć śmiesznie brzmi, że wślazą na Everest z popiersiem. Czy wyobrażacie sobie, że ktoś polezie na Everest z popiersiem Macmillana albo Kennedy'ego? Po co to komu? Rozumiem termos z herbatą, manierka z koniakami, no ewentualnie flaga narodowa, bo to mało miejsca zajmuje i lekkie. I z tą flagą mogliby zbudować ostatecznie, bo rzeczywiście wiatr mógł ją porwać...

— Właśnie. Ale popiersie, nawet żeby najłżejsze trzeba obmurować. Więc jak to miało być? Jeden niósł popiersie a drugi kubełek z wapnem i cementem?

Więc co się stało — zapytałem ostrożnie — może wcale tam nie wleźli...

— Mężczyźni najprostszej rzeczy zrozumieć nie mogą — zirytowała się nagle Mary, milcząca dotychczas żona Allana — ja myślę, że Chińczycy wleźli na tego Everestu. I zabrali z sobą popiersie Mao Tse-tunga. Choćby po to, by móc je zrzucić w najgłębszą przepaść świata...

J. P. Horwarth

WŚRÓD KSIĄZEK NOWYCH I BARDZO DOBRYCH

JACQUES Pirenne, autor „Histoire de la civilisation de l'Égypte ancienne“ pisze: „Podczas badań stosunków prawnych i ekonomicznych starożytnego Egiptu doszedłem do przekonania, że ewolucje dawnych cywilizacji, nawet najbardziej odległych, następowały równie szybko jak w czasach nam bliższych. W starożytnym Egipcie, od którego dzielą nas tysiące lat, miano te same problemy społeczne, ekonomiczne i prawne, jak w epokach nowszych“.

Prace Pirenne są tym ciekawe, że bez względu na okres, bliski czy daleki, zajmują się przede wszystkim człowiekiem. Jego zmaganiem się ze współczesnymi mu zagadnieniami; człowiekiem, który jest tak igraszką losu jak i wypadków politycznych.

Praca podzielona jest na 3 tomy. Dwa pierwsze już się ukazały, trzeci ukaże się niebawem.

W tomie pierwszym Pirenne omawia prehistorię Egiptu, oraz genezę zjednoczenia królestwa. Kończy na r. 2300 przed Chrystusem. Lecz wszystko z tego okresu wyraża się tylko w przypuszczeniach. Mimo to linia, po jakiej będą już szli ludzie zamieszkujące brzegi Nilu, zarysowuje się wyraźnie. Przede wszystkim widzi się różnicę pomiędzy okragiem Deltą, o kulturze morskiej i Wysokiej Doliny, o kulturze lądowej. Ułożenie się stosunków pomiędzy tymi dwoma grupami decyduje o całej historii starożytnego Egiptu. Zjednoczenie następuje dopiero po zajęciu Północy przez Namera, króla z Południa.

Tom II obejmuje lata od VI do XX dynastii. Kraj w tym okresie przechodzi duże zmiany. Kiedy rządy centralne słabną, władza stopniowo przechodzi w ręce magnatów Wyższego Egiptu. Ponowne zjednoczenie następuje dopiero za XI dynastii, kiedy grożą inwazje Hyksosów. Potem dopiero zaczyna się najwyższy rozkwit kultury imperium. A więc czasy Amenofisa IV, Ramzesa II.

Praca Jacques Pirenne zamyka w sobie niemal całość wiedzy o Egipcie, do jakiej doszła nasza epoka. Wydanie A. Michel.

„Cinq-Mars ou la passion et fatalité“, praca historyczna Phillippe Erlangera, wydana przez Librairie Académique Perrin.

Romantyk jak Alfred de Vigny, pisząc w pierwszej połowie 19 stulecia powieść o Cinq-Marsie, nie mógł go przedstawić inaczej jak romantycznie. Nie licząc się z prawdą historyczną, idealizuje pięknego markiza, którego głowa spadła ostatecznie w Lyonie, na szafocie, kiedy młody człowiek liczył zaledwie lat 22. Vigny nie pyta co spowodowało, że Cinq-Mars, porywczyni, skory do szabli, ale zawsze z uśmiechem na ustach, zawsze gotów do szalonych czynów, nagle zginął śmiercią haniebną.

Pyta o to natomiast Philippe Erlanger, historyk, i na pytanie odpowiada. W pracy „Cinq-Mars ou la passion et fatalité” ujawnia nieznane dotychczas szczegóły tzw. sprawy Cinq-Marsa, kiedy to ulubieniec Ludwika XIII organizuje spisek przeciwko kardynałowi Richelieu, w czym pomagają mu Hiszpanie. Cały mechanizm spisku i obrona przed nim wykazany jest przez Erlangera punkt po punkcie. A ponieważ tłem sprawy są czasy więcej niż niebezpieczne, współczesny czytelnik może wyciągnąć z przedstawionych mu faktów historycznych bardzo ciekawe wnioski.

Powieść Roberta Escarpit, „Sainte Lysistrata” w wyd. A. Fayard, jest satyrą na życie małego miasteczka, położonego gdzieś pod Bordeaux. Może przypomina trochę „Clochemerle”, lecz jest bez porównania bardziej subtelna.

Małe społeczeństwo dzieli się tu na klerykałów i antyklerykałów. Mimo różnic przekonań, ludzie spotykają się z sobą, kłócą, godzą, i — po cichu handlują. Założeniem jest znalezienie przez skromnego bibliotekarza, zahukanego przez wszystkich urzędnika archiwum miejskiego, nieznanej sztuki Arystofanesa, „Lysistrata”. Przez nikogo dotychczas niedostrzegany urzędniczyna nagle staje się wielkością. Jednak głównymi postaciami powieści są dwaj bracia Lastèques: Jean, przykładowy ksiądz i Henri, profesor, „pożeracz księży”. Ci dopiero wypełniają książkę ścieraniem się poglądów, żyjąc z sobą na stopie wojennej tak słownej jak nawet czynnej. Nie przeskadza im to jednak ubóstwiać się nawzajem. Bracia, mimo różnicy zapatrywań, są do siebie głęboko przywiązani.

Książka pełna jest inteligentnego humoru, a ponieważ pisana z życzliwością, zaliczyć ją można do jednej z najlepszych tego typu, jakie ukazały się na przełomie 1962/1963.

Wydaniem Weidenfelda i Nicolsa, wyszła fantastyczna powieść, której autorami są dwaj dziennikarze amerykańscy: Fletcher Knebel i Charles Bailey, „Seven days in May”.

Zaczyna się, powiedzmy, dość leniwie, lecz w miarę akcji nabiera tempa i staje się doskonałym „thrillerem”. Armia Stanów Zjednoczonych postanawia usunąć prezydenta i władzę przejąć w swoje ręce. Przyczyna zamachu leży w tym, że rząd podpisał z Rosją Sowiecką traktat o rozbrojeniu atomowym. Większość przeciwna jest traktatowi, lecz nikt tak ostro nie reaguje jak wyższe szczeble armii amerykańskiej.

Czy coś podobnego mogłoby się zdarzyć? Trzeba przeczytać książkę, ażeby móc stawiać podobne pytanie. Ostatecznie pisana jest przez dziennikarzy waszyngtońskich, którzy dużo mogą na ten temat powiedzieć. Nawet jeżeli swój utwór traktują jako fantazję.

„Farmer's Breakfast” (wydanie Michael Joseph), to autobiografia Arthura Ling, który chociaż

jest człowiekiem wsi, nie należy do ludzi zajmujących się wyłącznie przewidywaniem pogody i zbiorami siana. Jest wykładowcą uniwersytetu w Bristolu, urzędnikiem państwowym, przemysłowcem i prelegentem radiowym.

Książka pisana jest lekko, a porusza tak ważne tematy jak postęp wsi techniczny i naukowy. Zwłaszcza ciekawy jest rozdział o hodowli kur, o czym — jak o wszystkim — autor też pisze z humorem.

T. L.

Aforyzmy Pana Dyzmy

Są ludzie którzy nie potrzebują wiele snu, tylko zawsze „jeszcze pięć minut”.

Miłość u kobiet jest tak samo silna jak przed wiekami. Zmieniło się dziś tylko jak z potrawami. Jada się mniej, lecz za to częściej i potrawy są urozmaicone.

Małżeństwa nieraz rozchodzą się dla drobnostki. Z tej samej przyczyny bywają zawierane.

Bigamista to człowiek który dwa razy popełnia ten sam błąd.

Stara panna pragnie zostać panną młodą choćby na jeden dzień.

Najcenniejsze są autografy niektórych ludzi żyjących. Na czekach.

Zmrużenie oka trwa ułamek sekundy, ale skutki jego mogą trwać przez całe życie.

Najmniejszą sumą jaką może obejść się żona jest największa jaką może dostać od męża.

Wielu kawalerów chciałoby mieć miłą, czarującą żonę. Większość żonatych też.

LOGICZNE

Pani Kowalska zalega z opłatą zakupionych rzeczy. Na trzecie upomnienie odpisała: „Żadnego pismem upomnienia nie otrzymałam a poza tym wyprowadziłam się i już więcej tu nie mieszkam”.

DOBRY CHŁOPCZYK

Ciocia idzie na spacer z małym siostrzeńcem.

— Co byś ty zrobił Franiu gdyby ciocię samochód przejechał?

— Nie bój się ciociu, ja stąd sam trafię do domu.

SPEŁNIONE ŻYCZENIE

— Czy mogę odwiedzić panią w domu, pani Zosiu?

— Dlaczego?

— Bardzo ciekaw jestem jak pani mieszka.

— Istotnie pana ciekawi?

— Bardzo.

— W takim razie przyślę panu fotografię mego mieszkania.

Izolda o złot

CZESŁAW, siedząc w fotelu na drugim końcu salonu, z przyjemnością patrzył jak Claire Nicholls usunęła się, przepuszczając panią Brangien. Bilet na dzisiejszy mecz bokserski miał już w portfelu, ale część gości hotelowych, którzy nie podali na czas swoich nazwisk, była zaniepokojona. Mecze należał do najważniejszych wydarzeń roku sportowego. Tylko ci, którzy sześć miesięcy temu zamawiając pokoje zastrzegli sobie rezerwowanie miejsc, pierwsze uzależniając od drugiego, siedzieli spokojnie.

Claire Nicholls stała przed panią Brangien, ale widocznie z uwagi na jej wiek, dwie laski i zgarbione plecy, przepuściła ją przed sobą. Żadnej z tych roztarganych młodek, które cały dzień uganiały z kijami hockeystycznymi albo z raketami i w południe murem otaczały bar, klepiąc mężczyzn po ramieniu, jak po rannej przejażdżce klepały konie, nie przyszłoby do głowy, żeby komuś, kto nie należał do ich klanu, ustąpić miejsca.

— Subtelna i piękna — pomyślał, patrząc na jej wysoką, szczupłą sylwetkę i włosy koloru białego wina reńskiego. Piękna? Właściwie Claire Nicholls nie była piękna. Szyję miała za długą. A może tylko ramiona za wąskie i zbyt spadziste? Jednak piękna. Przypominała roślinę wodną, delikatnie zabarwioną, bo widzianą zawsze przez pryzmat wody. Twarz jasna, niemal przezroczysta i przezroczyste oczy. Ich spokój imponował Czesławowi. Tak jak wyraz ust — dwa różowe pasemka, zdecydowane a jednocześnie miękkie, jak ze średniowiecznych prymitywów. Dotknięcie ich byłoby chyba tylko wynikiem jakiejś ekstazy a nie impulsu fizycznego. To nie usta Wandy, których zmysłowość, obnażona jeszcze przez jaskrawą pomadkę, atakowała. Wywoływała pragnienie, jakie wywołuje jeden tylko łyk wody, kiedy czuje się potrzebę drugiego, trzeciego i czwartego. Usta Wandy były w całym tego słowa znaczeniu organem.

Claire rozmawiała o czymś z panią Brangien. Na tle ciężkich mebli, pomiędzy ludźmi z krwi, ciała i kości, jej białość w zielonkawym pulloverze, bezcielesność, jasność włosów i oczu sprawiły, że raz jeszcze pomyślał o pnączu wodnym. Zgarbiona pani Brangien, ze stertą siwo błękitnych loków i dwoma plamami różu na zwidłej twarzy, wyglądał przy niej jak grzyb. Ktoś idąc potrafił go nogą i nadkruszył.

Brangien śmiała się pokazując Claire bilet. Wargi pociągnięte siną pomadką odsłaniały długie, żółte zęby. Claire palcami z mlecznego szkła bilet wyłuskała z jej pomarszczonych rąk i zwróciła się do kogoś w zamieszowej kurtce. Kurtka obrzucała ją spojrzeniem świadczącym o nadmiernym funkcjonowaniu hormonów. Z kieszeni wyjęła swój bilet i zaprzeczyła, nie przestając patrzeć w przezroczyste oczy Claire. Ruchem zdecydowanie pewnym, jakim tylko kot przeslizguje się przez krzaki wiedząc, że ani jednego liścia nie potrafi, przedostała się do sekretarza. Coś mu tłumaczyła. Sekretarz sprawdził listę, wstał i razem z Claire powiódł wzrokiem po stojących w salonie, po siedzących, po tych którzy pili kawę i tych, którzy



drzemali w fotelach. Wzrok jego wreszcie zatrzymał się na Czesławie. Wyraźnie wskazywał na niego, bo Claire, od razu pewnym krokiem popłynęła przez salon.

— To pan ma numer drugi w pierwszym rzędzie? — zapytała dopływając. Wstał z fotela, wyjął portfel, by sprawdzić, chociaż doskonale pamiętał. Gdy tylko w hallu ukazała się notatka, że pewna ilość miejsc jest zarezerwowana dla tych gości Faire Isles Hotel, którzy wcześniej nie zdołali biletów zamówić, jeden z pierwszych podał swoje nazwisko. Boksem specjalnie się nie interesował, ale mecz umożliwił zapełnienie jednego wieczoru więcej. Samotność i nudę odczuwa się dopiero podczas urlopu. Więc zamówił bilet, zwłaszcza że notatka ukazała się zaraz po wyjeździe Wandy. I wtenczas to, w biurze sekretarza, ujrzał Claire Nicholls. Biała, jasna, nieuchwytna, w zielonkawej obcisłej sukni, stała pochylona nad planem stadionu sportowego.

ych włosach



Od dwu tygodni spotykał ją przecież codzień, ale fizyczność Wandy przysłaniała widocznie sprawę ducha, bo nie zwracał na nią uwagi. Dopiero tego dnia, w biurze sekretarza, gdzie wszystko było zimne, nieprzytulne, metalowe i błyszczało jak dobrze wyczyszczone buciki, ujrzał ją właściwie po raz pierwszy. Przez jej wiotkość, płynność ruchów, przez rysunek za długiej nieco szyi. Za każdym zwrotem głowy kołysała się jak lodyga. Po kilku dniach przyszedł do przekonania, że są jednak kobiety, na które patrzy się jak na szkło szwedzkie. Proste, lekko zabarwione, a tak przezroczyste, że oko nie dostrzega pełnego kształtu i dlatego wzroku nie można od niego oderwać. Jest, a tak jakby go nie było. Wywoływało niepokój, ból nawet i tęsknotę. Do czego?

Człowiek nie wie ile zostaje w podświadomości z niebytu, z którego przechodząc w kręgi życia, cząstkę zabiera z sobą. Są ludzie o skorupie tak grubej, że przypomnienie nigdy jej nie przebiję.

I kto wie — ci może są najszczęśliwsi? Zeszli na ziemię przecież po to, aby żyć, a nie po to, by tęsknić. Lecz warstwy zasłaniające przed Czesławem pamięć niebytu, były widocznie cienkie. Tęsknota bowiem nawiedzała go, czy to na widok kwiatu, którego piękności nie umiał inaczej pojąć jak chłonąc w siebie; czy powierzchni morza zasypanej pyłem słonecznym; ptaka śmigającego w powietrzu o zachodzie, kiedy niebo ucieka w wyż, a ptak kreśli na nim linie, których się nie widzi, ale czuje się, że są. Ta ich niewidoczność wywołuje tęsknotę, przez to żal, a równocześnie upewnia, że kiedyś w siebie zagarnie.

Tego samego uczucia doznawał patrząc na Claire Nicholls. Widocznie dla równowagi natura stworzyła takie kobiety jak Wanda i takie jak ona. Dotychczas znał tylko jeden gatunek.

Dlaczego, chociaż pamiętał numer biletu, szukał, ażeby Claire zatrzymać przy sobie jak najdłużej. Stała blisko, razem z nim nachylona nad portfelem. Ich głowy stykały się niemal. W takich chwilach przy Wandzie, a w ciągu dwu tygodni nagromadziło się ich sporo, odczuwał zdenerwowanie. Dziewczyna szybko nawiązywała kontakt z jego komórkami. Szybciej nawet od innych dziewcząt. Wtenczas jej twarz ładna, ale o rysach nieregularnych i szyja może trochę za krótka — a może ramiona za wysokie? nabierały szczególnego powabu. Nie widział niedociągnięć, tylko perfekcję. Biło od niej ciepło, rozmach życia. Czuł, że przy niej żyje. Przy Claire, do której zmysłowość nie docierała, czuł że mógłby żyć dopiero.

Czy Claire należała do kogoś? W książce hotelowej przy jej nazwisku figurował skrót „Mrs.“. Można więc było przypuszczać, że mężczyzna Nicholls był, albo jest w rejestrze świata. Mimo to Czesław nie mógł sobie wyobrazić, ażeby Claire można uważać za współniczkę i dni i nocy. Samą swoją obecnością ustanawiała klimat bezcielesny, surowy.

Dlatego denerwowała go pani Brangien. W dociągach i rozmowie była chwilami aż krępująca. Lecz nawet najdrastyczniejsze, zaprawione przy tym starczą rubasnością, Claire przyjmowała z tym samym uśmiechem Mony Lizy, z jakim odpowiadała na pozdrowienia rozkrzyczanych dziewcząt i słuchała męskich wynurzeń na temat osiągnięć golfowych. To, że zajmowała się panią Brangien, a właściwie nigdzie bez niej się nie ruszała, świadczyło tylko o jej subtelności, a więc o podleganiu prawu miłosierdzia. Brangien znała wszystkich, lecz nikt się przy niej nie zatrzymywał. Mimo to, na jej obecność patrzył jak na profanację.

Lat miał blisko czterdzieści, znał więc różne aspekty życia. Zwłaszcza, że wiek opierzenia włączył się w okres wojny, a ta więcej rzuca piór brudnych i postrzępionych, aniżeli śnieżnych lotek. Patrząc więc na starość pani Brangien, na sznury pereł, indyczą szyję, na kolczyki, pierścionki, na usta wiecznie w ruchu, równie baczne na wszystko, jak i źle podczernione oczy, łatwo odgadywał jej młodość. Dziewczęta na plaży taksowała fachowym okiem i zapewne z przyzwyczajenia każdą oznaczała

ceną. Jak bookmaker, który wycofał się już z pracy, ale na polu wyścigowym nadal przewiduje ile za którego konia zapłaci.

Pokazał Claire swój bilet, miejsce numer drugi. Ucieszyła się. Tak zależało jej na dwójce! Chodziło o to, że to pani Brangien dawno już przez pomyłkę otrzymała numer 22, w trzecim rzędzie, ale zauważyła dopiero dzisiaj. A chciała siedzieć obok Claire, w pierwszym. Czy Czesław byłby tak uprzejmy...?

— Pani idzie na mecz bokserski? — zdziwił się, ale zaraz pomyślał, że roślina-Claire wyrosła na gruncie angielskim, gdzie każdy sport jest potrzebą duchową.

— Naturalnie — odparła zdziwiona nawet bardziej niż Czesław. — I gdyby to panu nie sprawiało różnicy...?

Zawahał się. Sprawiało. Mógł siedzieć obok niej i cały wieczór mieć ją tak blisko siebie jak teraz. Gdyby mógł, powiedziałaby to jej chłodnej białości. Ale w Claire było coś zakonnego. Wręczył jej zatem swój bilet.

— Nie tylko ja — rzekła dając mu w zamian numer 22 — ale i pani Brangien będzie panu niezmiernie wdzięczna.

Odeszła. Znowu płynęła przez salon wiotka, lekka, przejrzysta. Gdyby zamiast popołudniowej siesty odbywał się tu seans spirytystyczny można ją wziąć za zjawisko astralne. Jak zauważył, nie on jeden odprowadzał ją wzrokiem. Mężczyźni milkli, kobiety przymrużały oczy, jakby nie chcąc stracić żadnego szczegółu. Tak — w Claire było coś urzekającego.

W restauracji, podczas obiadu, nastrój panował ożywiony. Wszystkie stoliki zajęte i mówiono o meczu. Rex Roy ponownie stawał do walki o tytuł mistrza Wspólnoty. A dzierzył go już drugi rok. Tym razem miał przeciwko sobie Alfa z Czarnego Łądu. Czesław nigdy Alfa nie widział? Pytanie postawiła sąsiadka przy stole, tęga żona tęgiego męża. Oboje przyjechali na mecz z Manchesteru i pochodzili zapewne od Atlasa, bo wyglądali jakby odpowiedzialność za całą Anglię i jej ciężar na nich spoczywał. Mieli ceglaste twarze z tą tylko różnicą, że jej ceglastość podkreślała szminka. Grudka złe rozprowadzonego różu widniała na lewym policzku. Widocznie róż nakłada w pośpiechu, tuż przed obiadem, zaraz po wyjściu z auta. A przyjechali później, niż obliczyli.

Czesław nigdy nie widział Alfa, ale powiedział że bardzo się nim interesuje. Czy nie uważa, że od zeszłego roku zrobił kolosalne postępy? O tak, kolosalne, czytał o tym.

— Nie z tego nie będzie. To marzyciel — wtrącił mąż. Tak był zajęty zmiataniem wieprzowiny z jabłkiem, że Czesław nie przypuszczał, by zwracał uwagę na rozmowę. Okazało się jednak, że słowa nie stracił. Potem pani zapytała jakiej Czesław jest narodowości?

Przypomniała mu się Wanda i pytanie jakiejś chyba kwakierki, sądząc po żakiecie kroju harcerskiego, płaskich, za dużych bucikach i czapce

cyklistówce z ubiegłego stulecia. „Jacy oni są muzykali!“ śmiała się Wanda. „Mówię po angielsku jak Angielka, ona przecież dosłyszała we mnie jakąś obcą nutę“.

— Jestem Polakiem — odparł.

— Ach, jakież to interesujące!

— Maud, bądź uprzejma — znów wtrącił mąż, jednym ruchem noża odkrawując tłuszcz od mięsa.

— I na lato przyjechał pan do Anglii? — pytała dalej.

— Nie. Stale tu mieszkam. Jestem Brytyjczykiem.

Zamilkła. Czesław poszukała wzrokiem Claire. Jak zwykle, siedziała w zagłębieniu okna, ale ponieważ sala tego wieczoru pełna była ramion, głów różnego kształtu i barwy i kelnerzy uwijali się jak komary nad stawem, dostrzegł tylko fragment jej jasnego profilu. To wystarczyło. Któż z nią siedział? Naturalnie Brangien i jakieś dwa smokingi.

— Dobrze się pan czuje w Anglii, prawda? — padło z lewej strony.

Stadion tak był nabitý głowami że Czesław, przedostając się do trzeciego rzędu, miał wrażenie, że posuwa się w fałdach sukni naszytej dżetami. Olbrzymia przestrzeń szumiała. Spojrzył na pierwszy rząd. Claire, w płaszczu gronostajowym, wystrzelała tuż koło przejścia — jak biała, chłodna lodyga. Tak jak w hotelu raziała go pani Brangien, tak raziała go obecność Claire na stadionie. Gardzenia na mrowisku.

Na ring padł snop reflektora. Światła pogasły. Kolisty stadion wyglądał teraz jak salaterka kawioru z cegiełką zamrożonego masła pośrodku — ringiem.

Przy piątej rundzie walka zaczęła go hipnotyzować. Nie dziwił się już, że Claire wychyliła się z krzesła jakby chciała być bliżej ringu. Piękno nóg kobiecych nie może się równać z wyrazem piękna nóg czarnego. Nogi Alfa, mieniające się jak stal oksydowana, przykuwały. Ich ruch nieuchwytny, lekki jak łątka, szybki jak skok świerszcza, sprężony nawet w bezruchu, mógł w Claire wywołać ten sam ból niedosytu, jaki wywoływał w Czesławie.

Był zaledwie podrostkiem, kiedy pojechał z matką do Krakowa. W Muzeum Narodowym zatrzymali się przed „Niewolnikiem“ Welońskiego. Smukłość nóg zdawała się odrywać rzeźbę od podstawy. „Cała tęsknota za wolnością wyrażona jest w tych nogach — powiedziała matka. — Widzisz jak można stan psychiczny wyrazić w kształcie? Trzeba tylko umieć zamknąć w nim cząstkę własnej duszy“ Przypominał to sobie nie raz.

Na twarze zapaśników Czesław spojrział raz, gdy weszli. Nie były ludzkie. Zwierzęce też nie. Buldogi w pozornej brzydocie mają urok inteligencji. W oczach, w pyskach spłaszczonych, w dolnej wystającej szczęce. Tu, były tylko bryły. Nosy, uszy, oczy zdawały się szczątkową pozostałością formy kiedyś doskonalszej. A może organem należycie jeszcze nie rozwiniętym? Kawały mięsa

podzielone na owale, kwadraty i trójkąty, złączone z sobą sprawnie działającymi wiązaniami. Czy było w nich coś więcej? Po co? — niczego więcej od nich nie wymagano.

I wtenczas to, w piątej rundzie, uderzeniem szybkim jak kula rewolwerowa, Rex powalił czarnego. Krzyk przeleciał po stadionie i zamarł. Pierwszy podmuch nawalnicy.

Raz, dwa, trzy, cztery... siedem... dziewięć...

Krzyk wzrastał, narastał. Runął wreszcie. Zatrząsał. Blisko, ktoś zaniósł się skomleniem. Czesław oglądał się. To siedząca za nim potomkini Atlasa, wyła. Była biała, przez co grudka na lewym policzku wystąpiła jaskrawiej. Z twarzy męża został tylko płaski, krzyczący naleśnik. Czesławowi pot wystąpił na czoło. Ludzie dokoła niego wyzyli się wszelkich hamulców. Zdolni byli do wszystkiego. Rzucił okiem na pierwszy rząd. Tam, gdzie siedziała pani Brangien, w powietrzu skakała laska. Był to jedyny wyraz, jakim starucha mogła okazać zachwyt. Obok niej — miejsce było puste.

Alf podniósł się z ziemi. Chwiał się. Musiano go podtrzymać. A pośrodku ringu stał dyszący, zlany potem, obelisk. napięte dotychczas muskuły rozluźniły się, przez co jakby zmalał, lecz poszerzył jeszcze w ramionach. W tej chwili był to wspinały robot, z którego wyłączono prąd, jedyny element życia. Bochny w rękawicach unosił nad kwadratową czaszką i tak ziarnkom kawioru dziękował za udział w jego tryumfie. Kołysał się, pełen sytego zadowolenia. Podeszedł do Alfa. Ten osłabł ponownie; Robot schylił się, podniósł go i wspinałomyślnie sam wyniósł z ringu na rękach. Stadion szalał. Czesław widział jeszcze bezwładnie zwisające czarne, smukłe nogi. Siła przemogła piękno.

Ludzie ruszyli z miejsc. Czesław czekał na odplyw pierwszej fali. Spojrzał na puste krzesło Claire. Ku jego zdziwieniu, laska pani Brangien wciąż skakała w powietrzu, lecz skierowana ku niemu. Starucha najwyraźniej dawała mu jakieś znaki. Szybko przedostał się do niej. Miała wybiegi i błyszczące oczy.

— Niech mnie pan odprowadzi do domu — zawołała. — Bo ta wariatka zostawiła mnie samą!

Pomógł jej wstać z krzesła, wprowadził na schody.

— Co się stało z panią Nicholls? — zapytał.

— Jakto co? Poleciała do męża! — i widząc że sens słów nie dociera do niego, rzuciła jakby rozdrażniona: — To pan nie wie, że Claire jest żoną Rexa? Richard Nicholls. Rex Roy, to jego nazwisko ringowe. Pan o tym nie wie? Prawda — machnęła ręką i laska upadła z hałasem. — Prawda, że pan jest cudzoziemcem... Pierwszym mężem Claire był Sir Marc, ten od ciężkiego przemyślu. Ale rozwiódł się z nią z powodu Rexa. Przemyślu równie ciężki, bo waga — zaśmiała się. — A poznali się u nas. Ja sama, pamiętam, przyprowadziłam Rexa do Claire i powiadam: wypij z nim na jego powodzenie. I wypila. Tak się zaczęło. — Oparła się na ramieniu Czesława, gdy ten usiłował podnieść laskę. — Widzę że i pan nie może się uspokoić. Wspinała zwycięstwo. Tak

pięknej walki dawno już nie widziałam. A widziałam dużo. Bo o tym pan wie chyba, że Dick Brangien był najlepszym impresario sportowym na świecie? I trenerem za młodych lat. I to jakim! To on odkrył Rexa. Umarł dwa lata temu. Gdyby tu był dziś z nami, nie puściłby Claire. Dobry bokser, po takim meczu, przynajmniej trzy dni powinien odpocząć. Ale nie mogłam jej utrzymać. Sama zresztą jestem kobietą, to wiem co to znaczy. Przez czas treningu, nawet się nie widywali. Trzy miesiące! Celibat z uwagi na mecz... pan rozumie. Musi pan znaleźć dla mnie taksówkę.

Czesław milczał.

O taksówce nie było mowy. Jakiś wóz starając przedostać się przez płataniń aut i ludzi, zatrzymał się koło nich. Przy kierownicy Czesław dostrzegł potomka Atlasa. Pani Brangien? żona słynnego Dicka? Nie tylko odwożą, ale proszą potem do baru. Chcieli zaraz wracać do Manchesteru, lecz takiej przyjemności nie mogą sobie odmówić. Czesław milczał.

Pokój wychodził na morze. Drzwi na balkon były otwarte. Czesław nie zapalał światła. Stał w drzwiach, wpatrzył się w niebo. Księżyc, srebrny majak, zbliżał się do swojej czwartej kwadry. Po wodzie biegła długa, połyskliwa ścieżka.

— Spojrzenia twego prawdy wiecznej
latami Tristan szukał próżno —
aż Bóg łaskawy z drogi mlecznej

Isoldę rzucił mu — jałmużną... — szepnął

i urwał. Fragment zaplątany w podświadomości wrócił. Po ilu latach? Czesław nawet nie pamiętał. Chyba jeszcze sprzed okresu opierzenia. Zły był na siebie i równocześnie śmiać mu się chciało z własnej, czterdziestoletniej naiwności. Marzyciel — powiedział o Alfie potomek Atlasa. Czesław był takim samym marzycielem i tak samo jak tamten dostał po głowie jednym uderzeniem pięści. Izolda o złotych włosach! Poezja — ale sama historia zawsze wydawała mu się podejrzana. Idąc na spotkanie z kochankiem, Izolda wymknęła się o świcie z pałacu męża. Naga, okryta tylko płaszczem gronostajowym, biała, w białych oparach mgły porannej przedzierała się przez krzaki białej czeremchy. Trudno o piękniejszą wizję. Jednak i na wizję należy spojrzeć trzeźwo. Tristan posiadał moc w ciele zaprawionym w bojach, król Marek zaś, prototyp safandudy, wierzył we wszystko co żona, wraz z Tristanem, w niego wmawiała. Izolda im bielsza, tym łatwiej ulega działaniu plynu miłosnego, jaki w zanadrzu trzyma zawsze jakaś Brangien, usłużna pośredniczka.

Gdzieś od wschodniej strony nadszły chmury. Pierwsza, zbliżając się do księżyca, wysunęła dwa zachłanne ramiona. Ramiona zmieniły się w pięści. Zakryły księżyc. Znikła srebrna ścieżka na wodzie. Potem pięści rozdrobniły się w ptaki i te zbitym stadem pomknęły łowić z kolei gwiazdy. Wtenczas księżyc znów się ukazał, ale już zamglony. Ścieżka na wodzie poszarzała. Zresztą wnet przecięła ją jakaś późniona motorówka i rozrzuciła.

IZOLDA O ZŁOTYCH WŁOSACH (Dokończenie)

Isolda, o której zaczął marzyć w latach bliskich jesieni, jaką była, taką została i zapewne taką będzie zawsze.

— O tobie na wysokiej górze
rycerstwo już śpiewało pieśni,
i marzył Artus, król w purpurze,
w sen, co się kiedyś ucieleśni... — szepnął.

Dolatująca melodia przywołała zapomnianą strofkę. Od nadbrzeżnej szosy huk ciężarówki melodię zagłuszył.

„Motoryzacja niszczy wszystko, co człowiekowi potrzebne jest do życia“, powiedziała Wanda, kiedy raz wsłuchanym w przedwieczne kwilenie ptaków, samolot przeleciał nad głowami z takim jazgotem, że ptaki umilkły.

Sen. Żeby się spełnić, musi się więc ucieleśnić. Inaczej poezja nie dosięgnie człowieka.

Wanda. Ramiona miała osadzone za wysoko, prowokujące usta i spojrzenie. Całowali się już po tygodniu znajomości. Mimo to, drzwi od swojego pokoju zamknęła, kiedy szepnął że swoje zostawi tej nocy otwarte. Czekał wtenczas na próżno. Zły, bo nie był przecież uczniakiem i nie z nim prowadzić grę w kota i myszkę, gdzieś nad ranem ruszył

na rekonesans. Drzwi zastał zamknięte. Nazajutrz nie wspomniał o tym ani słowem. Hipokrytka? Nie. Romantyczka. Ale dopiero dzisiaj pojął, że romantyzm, przez samych Polaków uważany za główną wadę narodową, jest objawem kultury wewnętrznej. Jej podstawa.

Zapalił światło, wyjął z kieszeni notes. Numer telefonu miał zapisany. Popatrzył na zegarek. Pół do dwunastej? Wanda wspominała, że nigdy nie kładzie się przed północą. Podniósł słuchawkę kazał połączyć się z Londynem.

Od razu przysł majak księżycowy. Ucieleśnił się sen i przyjemnym głosem pytał, dlaczego Czesław nie zadzwonił tydzień temu?

— Trudno mi było. Zrobiłem mały wypad na kontynent. Dziś wróciłem. Na mecz Rex Roya z Czarnym Alfem. Pokonał. Łatwo. W piątej rundzie. Alf to marzyciel.

Mówił gładko, uważając, że rolę Marka, króla Kornwalii, doskonale można przerzucić na kobietę. I wygodniej. Bo w każdej kobiecie może być coś z Izoldy o Złotych Włosach i z tej drugiej, o Białych Rękach, ale z Izoldy i Tristana, w połączeniu z trzeźwym spojrzeniem na króla Marka, może być tylko w mężczyźnie.

Teodozya Lisiewicz

CZESŁAW DOBEK

WYMIERAJĄCY AKTORZY

JEST to historia teatru, który w krótkim czasie będzie zamknięty z powodu braku aktorów. Historia to niezwykła, można powiedzieć wstrząsająca, wywołała sensację w angielskiej prasie, w radio i w telewizji.

Dotychczas ten teatr znajdujący się w wielkim Manchesterze był radością dla widzów, zwłaszcza tych w wieku szkolnym i przedszkolnym. Obecnie mimo wysiłków dyrektora teatr się likwiduje. Dlaczego?

Bo teatrowi brak aktorów.

— Jak doszło do takiej katastrofy? — spytał pana Williamsa reporter radiowy.

— Trzydzieści dwa lata pracuję w moim zawodzie — odpowiedział smutno dyrektor — i oto doczekałem się, że nie mogę zdobyć aktorów. Zwracam się do znajomych, ogłaszam się w miejscowych gazetach, wszystko bez skutku. Moi ostatni bohaterowie i primadonny umierają, a nikt nie zjawia się na ich miejsce.

Wymierający aktorzy? Bardzo to przykra sprawa, nawet, jeżeli wiemy, że chodzi tu o aktorów teatru... pcheł.

Smutnym, ale prawdziwym faktem jest to, że pan Williams nie może w wielkim Manchesterze zdobyć pcheł. Dwadzieścia lat temu, przed wojną — powiada dyrektor — było ich pod dostatkiem. Gdybym wtedy dał ogłoszenie do gazety, że płacę za pcheł sześć pensów, zjawiałoby się tylu sprzedawców, że policja musiałaby regulować ruch. Dziś z mikroskopem trzeba szukać jednej pchełki w całej Anglii.

Jak wygląda teatr pcheł, wiedzą chyba wszyscy. Małe czarne aktorki są ujarzmione za pomocą cienkiego drucika miedzianego. Założenie tego drucika na pcheł jest zdaje się największym zagadnieniem tresury. Reszta bywa już łatwa. Dochodzi się drucik do dyszelka malutkiego wózka i pcheł przebiegając nogami chcąc nie chcąc udaje konia. Również chodzi po drabinie, po nitec, kręci korbą i tak dalej. Metalowa uprząż sprawia, że pcheł nie może skakać i ucieczka jej jest niemożliwa.

— No chyba pan przesadza, panie dyrektorze. Przecież znajdzie się jeszcze trochę pchełek chociażby na psach?

Okazuje się jednak, że psie pcheł nie nadają się od cyrku. Chodzi o żywienie ich. Pcheł, która w niewoli, albo powiedzmy ładniej — w teatrze, żyje około dwóch tygodni, musi być żywiona codziennie. Pcheł karmi sam dyrektor krwią ze swego ramienia. Sadza je sobie na skórce i pasię regularnie.

Psia pcheł potrzebuje psiej krwi.

— A jakżeź puścić drogocennego, tresowanego aktora na psie futro? Trzeba go potem godzinami szukać.

Kto wie, czy już jutro dyrektor Williams z Manchesteru nie zadzwoni do Moskwy.

— Towarzyszu Nikita — będzie prosił — przyślijcie trochę pcheł, w Anglii ich z pewnych względów zabrakło.

— Czto? Błochi? — odpowie Nikita. — Kanieczno. U nas wsio jest!